WOJEWÓDZKIEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU
B. Główna

WITAMY III OGÓLNOPOLSKI KONGRES POKOJU!

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron | Warszawa, 3 kwietnia 1955 r. | Nr 14 (262) Rok VI

„DZIESIĘĆ NAJLEPSZYCH KSIĄŻEK DZIESIĘCIOLECIA"

Wyniki plebiscytu czytelniczego „Nowej Kultury"

W plebiscycie „Nowej Kultury", wzięło udział 1251 czytelników. Ponieważ bardzo wielu czytelników nie wiedziało, w jakiej kolejności ustawić 10 wybranych przez siebie książek, wyniki plebiscytu obliczaliśmy wg ilości głosów (każdy wymieniony tytuł obliczaliśmy jako 1 głos).

IGOR NEWERLY	— Pamiątka z celulozy	— 846 głosów
ZOFIA NAŁKOWSKA	— Medaliony	— 501 „
KAZIMIERZ BRANDYS	— Obywatele	— 448 „
JERZY ANDRZEJEWSKI	— Popiół i diament	— 407 „
LEON KRUCZKOWSKI	— Niemcy	— 397 „
KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI	— Piątka z ulicy Barskiej	— 329 „
LUCJAN RUDNICKI	— Stare i nowe	— 328 „
JULIAN TUWIM	— Kwiaty polskie	— 318 „
JERZY PUTRAMENT	— Wrzesień	— 313 „
BOHDAN CZESZKO	— Pokolenie	— 278 „

Ogółem w plebiscycie padły głosy na 239 autorów i 363 utwory.

Zamieszczamy dalszych pięć pozycji plebiscytu według ilości otrzymanych głosów: Kazimierz Brandys — Między wojnami — 264 głosy, Antoni Gołubiew — Bolesław Chrobry — 254 głosy, K. I. Gałczyński — Wiersze — 242 głosy, Wojciech Żukrowski — Dni klęski — 205 głosów, Julian Stryjkowski — Bieg do Fragala — 201 głosów.

Bliższe dane o przebiegu plebiscytu, jego analizę oraz listę nagrodzonych uczestników zamieścimy w jednym z następnych numerów „Nowej Kultury".

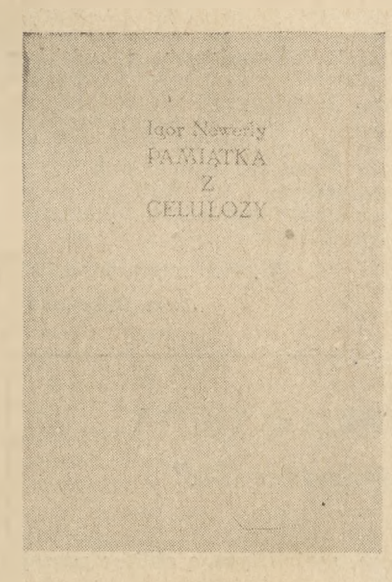

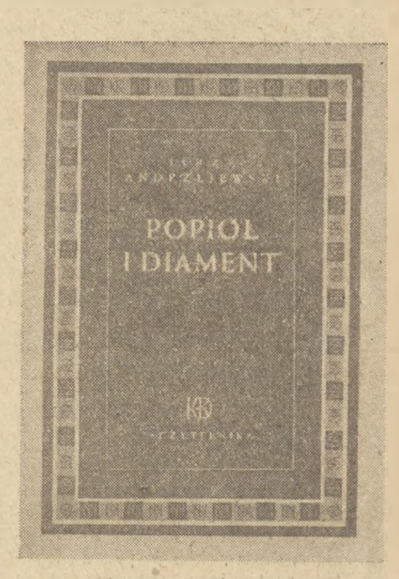

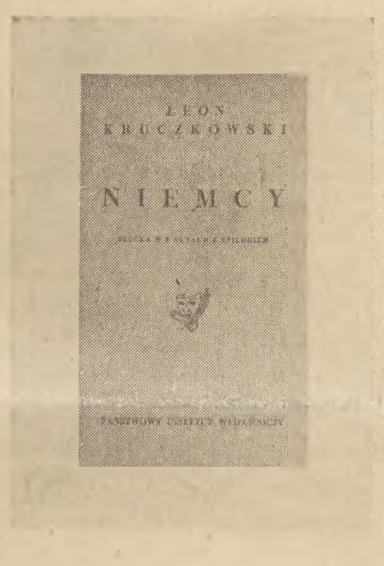

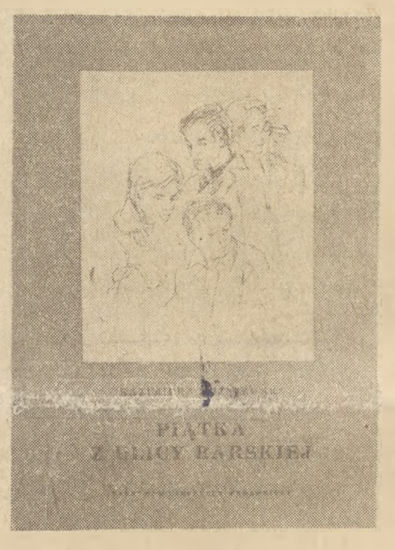

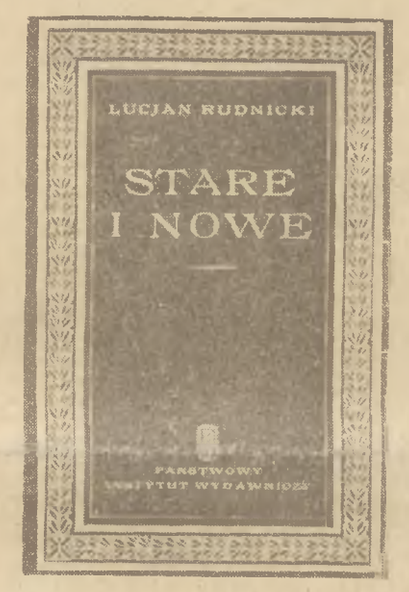

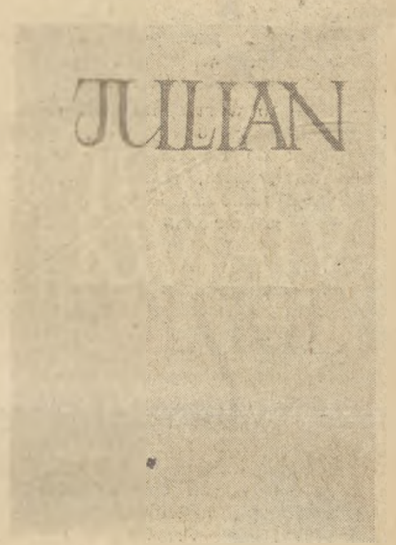

KAZIMIERZ BRANDYS

WSPOMNIENIA Z TERAŹNIEJSZOŚCI

Czerwona czapeczka

Właśnie tego dnia Reszel wpadł bez pukania do mojego pokoju i zawołał: — Mistrzu, jest rozkaz w te pędy na Krokwię! Staszek Marusarz skacze!

W ogóle nie lubiłem Reszla, a odkąd w jakiejś nocnej restauracji usłyszałem jak szef sali mówił do wyłysiałego skrzypka: „Mistrzu niech mistrz jeszcze raz się spóźni, to wyrzucę mistrza na zbity pysk" — nie lubię, gdy tytułują mnie mistrzem.

Więc próbowałem się opierać, ale Reszel powiedział, że wobec tego on także nie pójdzie. W końcu wywlókł mnie przed dom. Dzień był tak piękny, jak to się zdarza tylko w górach na przełomie zimy z wiosną. Gorące niebo kładło się wprost na śnieg, a szczyty, jakby je kto przez noc przysunął ku dolinie, stały o rzut kamieniem, ostre, obmyte z powietrza, widzialne do najdrobniejszej rysy w skale. Była to jedna z tych prawie bolesnych chwil najwspanialszego blasku świata, które napełniają człowieka podziwem i szczyptą wstydu, że jest o tyle brzydszy od natury. — Dzionek w deche — powiedział Reszel i wziął mnie pod rękę. Miał wełnianą czapkę z daszkiem i nowiutkie skrzypiące buty.

Rys. Wiesław Majchrzak

Skocznia powitała nas trzaskającym głosem megafonu, mnóstwem proporczyków i kolorowych swetrów. U góry na białym garbie mrowiły się czarne figurki. Wszystko to ładnie wyglądało, ale nie wiele mnie obchodziło. W swoim czasie spotkały mnie pewne rozczarowania w skoku wzwyż, potem wybuchła wojna — i tak, sam nie wiem dlaczego, przestałem uprawiać sport.

Ale wszystko, co człowiek w życiu odtrąca, staje się jego niepokojem. Znałem ludzi, którzy porzucili za młodu scenę i potem przez całe życie odbijali to sobie w rodzinie: zdradzone uczucia żądają alimentów. Ze mną było inaczej: stworzyłem teorię odciętych gałęzi. Do pewnego wieku, twierdziłem, człowiek ma w ręku kilka własnych losów. Może się stać wojskowym lub sybarytą, albo dziwakiem, czy dajmy na to zegarmistrzem. W jakimś momencie życia przypadek lub suma okoliczności popycha go na jedną z tych dróg. I odtąd wszystko w nim pracuje w zasadniczym wybranym kierunku; staje się coraz bardziej wojskowym, coraz większym sybarytą lub coraz bardziej zdecydowanym zegarmistrzem. Stawia się tym, kogo w sobie powołał i jakim się określił wobec innych. Człowiek wybiera wówczas swój pień i konary, inne zaś możliwości niepostrzeżenie w nim schną, karleją, i wreszcie można je odciąć bez bólu. Doprawdy, myślałem, nie stać nas na więcej niż jedną sprawę w życiu, reszta niech będzie milczeniem. I dlatego odciąłem w sobie gałąź sportu.

Moje pojawienie się na skoczni nie zwróciło niczyjej uwagi. Natomiast Reszla jakaś grupa opalonych twarzy powitała okrzykami i machaniem pstrokatych rękawic. Ten potwór był lubiany. Patrzyłem z niesmakiem jak go oklepują ze wszystkich stron. Były tam nawet dość ładne dziewczęta. Rogowe okulary Reszla tryskały zadowoleniem, słyszałem jak krzyczał: — Bajkowo nośny śnieg! — Bajkowo. Tak powiedział. Potem włożył łapę do kieszeni specjalnie uroczystym ruchem i wiedziałem, że za chwilę powie: „Szkocka fajka nie jest zła!"

— Szkocka fajka nie jest zła! — powiedział Reszel. Chciałem splunąć, ale właśnie w tej chwili odezwał się głos w megafonie:

— Uwaga, uwaga! Skacze Gąsienica-Daniel!

„No więc Gąsienica — pokiwałem głową — i co z tego?" Ostatecznie, jeśli się ktoś rozpędza od dziecka na dwóch zagiętych deskach, to w końcu musi ileś tam metrów skoczyć.

Na rozbiegu, wśród świerków, zamajaczyła maleńka sylwetka narciarza; a jednocześnie pod naszą trybuną nie wiadomo skąd wyrośli trzej chyba ośmioletni chłopcy z ogromną, starą lornetą.

— Jędrek skacze! — wrzasnął Reszel. Monstrum zdrabniało imiona wszystkich znanych ludzi i raz w czasie obiadu przysiągłbym, że powiedział „Marysia Konopnicka". Co prawda przeląkł się mojego wzroku.

Po Gąsienicy jakiś narciarz w czarnym swetrze skoczył swoje siedemdziesiąt parę metrów, ale czy to dlatego, że się podparł ręką, czy że miał krzywe nogi, nie wszystko mu policzono. Było mi go nawet trochę żal, gdy otrzepywał się ze śniegu.

Ludzie czekali jeszcze na coś przytupując o deski trybun. Chłopcy bili się lornetką po głowie, a Reszel pokazywał stylową pracę ramion przy skoku. Chciałem już sobie pójść, gdy nagle przez trybuny przeleciał okrzyk: — Czerwona czapeczka!... — i zrobiło się zupełnie cicho.

Stromym i wąskim podejściem, przedzierającym się w górę, po prawym skraju, ku białemu grzbietowi skoczni — wchodził nowy zawodnik. Był już wysoko. Co chwila niknął w ciemnym igliwiu, po czym znów się wyłaniał o cal bliżej szczytu i wtedy rzeczywiście zdawało mi się, że widzę jego czapeczkę barwy polnego maku, wędrującą wciąż wyżej ku świerkom.

Chłopcy z lornetą skamienieli, jak trzej wodzowie, których wojska za chwilę mają runąć z góry do ataku, i nawet Reszel umilkł przysłaniając okulary swoją norweską rękawicą. Ciepły, łagodny wiatr powiał ku reglom i na sekundę wstrzymał mi oddech. Znowu usłyszałem radosny krzyk trybun: na śnieżnym klinie u krawędzi nieba stał już człowiek na nartach.

Nie widziałem teraz Reszla, ani kolorowych dziewcząt. Człowiek na nartach przed skokiem staje się jedyną istotą godną ludzkiego wzroku. Nikt nie ma tutaj władzy równej jemu, który za chwilę oderwie się od ziemi. Jest tajemniczy i odległy, jego ledwie uchwytne ruchy mają niepojęte znaczenie dla patrzących; służą mu do czegoś, ale tu, w dole, nikt się tak nie porusza. Są mu potrzebne, dobrze on już wie, co mu jest potrzebne, żeby zamienić się w ptaka. Drgnął i podniósł ręce. Widocznie tak się zrzuca z ramion ciężar ludzki. Na mgnienie stał się owadem, uwaga, wysuwa anteny... Uwaga! Nie, jeszcze sekunda, pochylił się do nart... Zaraz, nie... Tak! ależ tak! Skoczył!

Skoczył wtenczas 89 metrów, bijąc rekord skoczni, który sam niegdyś ustanowił. Przeleciał wysoko ponad wierzchołkami drzew i przez ułamek chwili zawisł na rozpostartych ramionach, jakby uczepiony szczytu nieba. A potem chłopcy z lornetą biegli odpinać mu narty. Stał wsparty na barkach dwóch młodych zawodników, trochę pobladły, odurzony lotem. Jacyś ludzie przeskakiwali przez bariery trybun, zewsząd rwał się krzyk.

Na białym spadzistym szlaku zaroiło się od pstrych figurek: oglądano ślad skoku Marusarza. Gdy

(Dokończenie na str. 4)

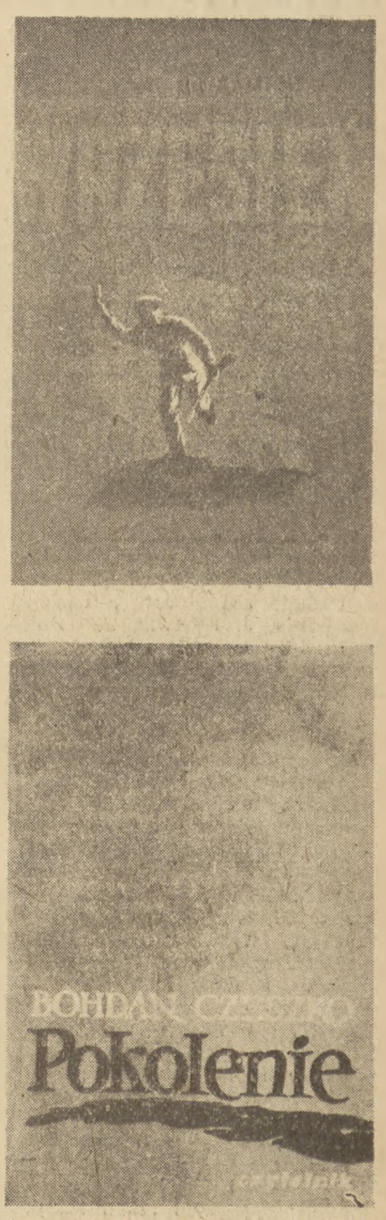

Dalsze głosy w ankiecie „NOWA KULTURA" w oczach czytelników ukażą się w następnym numerze.

W pięciolecie „Nowej Kultury”

Pięć lat temu, 1 kwietnia 1950 roku, ukazał się pierwszy numer „Nowej Kultury”, powstałej z fuzji „Odrodzenia” i „Kuźnicy”, dwóch tygodników społeczno-literackich, które wychodziły w pierwszym pięcioleciu Polski Ludowej. W związku z tym zamieszczamy deklarację połączeniową, która ukazała się w ostatnich numerach „Kuźnicy“ i „Odrodzenia“ jako platforma programowa naszego pisma. Drukujemy też wywiady z założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym „Odrodzenia“, Karolem Kurylukiem, oraz z założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym „Kuźnicy“ Stefanem Żółkiewskim.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rozmawiamy z prezesem Centralnego Urzędu Wydawnictw Karolem Kurylukiem, który przed jedenastu laty organizował w Lublinie pierwsze pismo społeczno - literackie „Odrodzenie“ i do 1948 roku był jego redaktorem.

— A więc jak powstawało w tym ciężkim, wojennym jeszcze przecież okresie „Odrodzenie“?

— Było to w sierpniu 1944 roku. Pamiętam, że 8 czy 10 sierpnia przyjechał do Lwowa, gdzie wówczas mieszkałem, Putrament; no i ściągnął mnie do Lublina. Wyjechaliśmy jeszcze tego samego dnia „willisem“ w piękną słoneczną pogodę i tego samego dnia spotkałem się na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie z Borejszą, który redagował pierwszy dziennik „Rzeczpospolitą“. Omówiliśmy razem sprawy tego nowego pisma literackiego i od razu zabrałem się do roboty.

Po wyswobodzeniu miejscowości podwarszawskich zaczęli do Lublina zjeżdżać literaci i uczeni; jednymi z pierwszych byli Boguszewska, Kornacki, Jastrun, nieco później zjawił się Przyboś, z młodszych Zb. Bieńkowski, no i pisarze z I Armii jak właśnie Borejsza, Putrament, Ważyk, Pasternak. W ciągu sierpnia i września coraz więcej ludzi gromadziło się w Lublinie. Był taki dom z ogródkiem na Radziwiłłowskiej 9, który stał się schronieniem dla wszystkich przyjezdnych, znajdowała się tam również stołówka i tam koncentrowało się to nowe środowisko. Pierwszy numer „Odrodzenia“ ukazał się 1 września i nie muszę chyba mówić, jak wielkie wywołał wzruszenie.

— Jak ukształtował się komitet redakcyjny pisma?

— Komitetu redakcyjnego w dzisiejszym sensie właściwie nie było. Pismo wydawane było przez paru ludzi — redaktorem byłem ja, sekretarzem redakcji młody początkujący poeta Zb. Bieńkowski, a współpracowała z nim cała grupa pisarzy, o których już mówiliśmy. Poza tym pojawili się młodzi literaci lubelscy, którzy w tym okresie właśnie debiutowali, a więc A. Kamieńska, J. Hartwig, Z. Kałużyński. Pismo zostało zaprojektowane jako tygodnik i w takiej formie ukazały się pierwsze numery. Były jednak duże trudności zarówno z papierem (kilka numerów wydaliśmy nawet na papierze pakowym) jak i z drukowaniem. Z małej drukarni na ul. Zamojskiej, gdzie pracowały zaledwie dwa czy trzy linotypy, wychodziły trzy dzienniki i kilka tygodników. Musieliśmy przejść na wydawanie pisma co dwa tygodnie. W styczniu 45 r., zaraz po wyzwoleniu Krakowa, przenieśliśmy tam redakcję „Odrodzenia“. Kraków miał wówczas najbogatsze środowisko literackie. Mieszkali tam Andrzejewski, Breza, K. Brandys, Dygat, Kott. Zyskaliśmy więc nowych autorów, a do kolegium redakcyjnego przybyli Przyboś i Pregerówna. Początkowali tam również — dziś wydaje się to śmieszne — jako *korektorzy* Broszkiewicz i Konwicki, który w okresie późniejszym został sekretarzem redakcji.

— Jakie założenia i cele stawiało sobie pismo w pierwszym okresie swego istnienia?

— Przede wszystkim chodziło nam o pozyskanie pisarzy dla naszej sprawy i dlatego pismo miało charakter eklektyczny, to znaczy nie stawiając ostro problemów walki klasowej prowadziło ono politykę uświadamiającą, ułatwiającą pisarzom zrozumienie nowej rzeczywistości i sensu dokonywających się przemian. Dlatego też nie poddawaliśmy wówczas surowej ocenie przeszłości, nie postulowaliśmy w sposób zasadniczy realizmu socjalistycznego. Chcieliśmy przede wszystkim pomóc pisarzom, którzy przychodzili po wojnie, po przeżyciach okupacji z dużym balastem urazów i obciążeń, w znalezieniu własnej drogi, własnego miejsca na ziemi. Wydaje mi się, że to zadanie udało nam się w dużej mierze wykonać, że wyciągnięcie życzliwej ręki, stworzenie przyjaznego klimatu mimo poważnych nieraz różnic poglądowych odbiło się pozytywnie na stosunku do takich pisarzy jak Andrzejewski, Breza, Brandys. Zarówno na łamach pisma jak i w lokalu redakcji na cotygodniowych zebraniach prowadzono wiele dyskusji, które również miały swój wpływ na kształtowanie się życia literackiego. W „Odrodzeniu“ ukazały się po raz pierwszy „Węzły życia“ Nałkowskiej, „Popiół i diament“ Andrzejewskiego. Redakcja starała się utrzymywać żywy i bliski kontakt z pisarzami, pomagać im w problemach twórczych, inspirować nawet. Na przykład z „Popiołem i diamentem“ było w ten sposób, że kiedyś przyszedł do mnie Andrzejewski i zaproponował pismu większe opowiadanie (temat — zakończenie wojny i pierwsze społeczne powojenne przemiany). Z dłuższej rozmowy wynikło, że materiałów i zagadnień jest więcej niż na jedno opowiadanie. Andrzejewski mówił wówczas, że było by mu trudno zasiąść do powieści, ale czy nie zaryzykowałbym takiego rozwiązania, żeby mógł pisać z odcinka na odcinek, stworzyłoby to jakiś przymus zewnętrzny pomagający się „zmobilizować“. Zgodziłem się i rozpoczęliśmy druk powieści, której pierwszy tytuł brzmiał: „Zaraz po wojnie“. Zdarzały się takie momenty, że numer był już w łamaniu a jeszcze nie było dalszego ciągu, Andrzejewski siedział wymęczony, zarośnięty — ale pisał. I tak powstała powieść. Drukowaliśmy również I akt sztuki scenicznej na tematy okupacyjne pióra Brezy i Dygata, jeszcze nim autorzy ten utwór ukończyli. W ten sposób wypracowywaliśmy wspólną platformę porozumienia i zaufania między pisarzami a pismem.

— A jak wyglądała sprawa młodych, debiutujących pisarzy?

— No cóż, chyba wszyscy początkujący literaci debiutowali lub przechodzili przez „Odrodzenie“. Mówiłem już o lubelskich — Kamieńskiej, Hartwig, Kałużyńskim, w Krakowie drukowali swoje pierwsze utwory Szymborska, Włodek, Różewicz, który zaczynał opowiadaniami o tematyce okupacyjnej, do poezji przyciągał go Przyboś, debiutował wtedy również Broszkiewicz i Konwicki, w 47 r. już w Warszawie — Woroszylski i wielu innych. Staraliśmy się młodym pomagać w miarę możliwości, na listy nadesłane odpowiadałem zawsze osobiście. Poza tym w bezpośrednim sąsiedztwie „Odrodzenia“ na Basztowej powstała redakcja „Twórczości“, z którą łączyły nas więzy ścisłej współpracy, wymiany materiałów według kompetencji pism. W ten sposób ukazały się w „Twórczości“ pierwsze większe utwory Borowskiego, opowiadania okupacyjne, które zrobiły wielkie wrażenie. Pamiętam również jak w okresie organizowania „Twórczości“ urządziliśmy u mnie w mieszkaniu konkurs błyskawiczny na tytuł pisma z nagrodą. Konkurs wygrał Przyboś. Ale to dygresja. Wracając jeszcze do młodych uważam, że obecnie redakcje zupełnie zaniedbują swoją rolę wychowawców i inspiratorów początkujących literatów. Nie zadają sobie trudu wydobywania młodych talentów, odpowiedniego pokierowania nimi, wolą przyjść na gotowe i czerpać swoich współpracowników z listy członków ZLP. Myślę, że obecne redakcje są w pewnym stopniu zbiurokratyzowane, że zatraciły tę bezpośredniość i życzliwość, tworzącą wokół pisma właściwą atmosferę i przyciągającą ludzi. Opowiadał mi kiedyś Borejsza o swoim debiucie pisarskim. Było to przed wojną, napisał większy reportaż i posłał go do redakcji „Wiadomości Literackich“. Jak każdy początkujący literat czekał w napięciu i z niepokojem wyników. Po paru dniach o pierwszej w nocy zadzwonił telefon. Był to Grydzewski, redaktor „Wiadomości“ (Borejsza zupełnie go nie znał). Grydzewski skończył właśnie czytanie reportażu i śpieszył zawiadomić Borejszę, że jest dobry, że mu się podoba, że będą drukować. Borejsza zawsze wspominał ten fakt ze wzruszeniem. Czy dzisiaj tak się zdarza? — chyba nie.

Warto przypomnieć jeszcze o jednej sprawie. W 46 roku wystąpiłem z inicjatywą stworzenia nagrody literackiej „Odrodzenia“. Powołaliśmy jury, w którym wzięła udział również Dąbrowska, były wówczas zacięte dyskusje o dwóch kandydatów: Brezę i Żukrowskiego, dyskusje, o charakterze ideologicznym, w rezultacie których Nagrodę „Odrodzenia“ przyznano Brezie za powieść pt. „Mury Jerycha“

To duże wydarzenie „ukoronowane“ zostało uroczystym obiadem „Pod Wierzynkiem“ z udziałem sprawozdawców z prasy i radia. Sądzę, że te tradycje nie powinny zaginąć. Drobne na pozór, wpływają one jednak dodatnio na rozwój życia literackiego, prowokują dyskusje, ścieranie się poglądów na zasadnicze zagadnienia literackiej twórczości.

Wywiad przeprowadziła

Anna Bukowska

DEKLARACJA POŁĄCZENIOWA „Kuźnicy” i „Odrodzenia”

W obecnym stadium walki o nowe, socjalistyczne oblicze naszej kultury, o rzeczywiście rewolucyjne treści w naszej literaturze i sztuce, w pełni dojrzała sprawa połączenia obu tygodników społeczno-literackich, „Odrodzenia“ i „Kuźnicy“, w jedno czasopismo.

W poprzednim okresie zasięg i charakter omawianych zagadnień i wypływających z nich zadań uzasadniał równoległą działalność obydwu czasopism.

Dziś natomiast, kiedy naczelnym zadaniem jest walka o literaturę socjalistyczną, konieczne jest skupienie wszystkich sił do realizacji tego zadania. Dlatego łączymy się. Za tydzień ukaże się nowy tygodnik społeczno-literacki „Nowa Kultura“.

Łączymy się, aby wzmocnić walkę o twórczość spełniającą postulaty realizmu socjalistycznego, o marksistowsko-leninowską estetykę torującą drogę rewolucyjnej literaturze i sztuce.

Chcemy, aby nasza twórczość literacka i artystyczna towarzyszyła masom ludowym w ich pracy i walce, aby stała się poważnym czynnikiem kształtowania ich socjalistycznej świadomości.

Kartki z dziennika lektury

Przypowieść o kozie

JERZY ANDRZEJEWSKI

Czytając trzeci tom „Kronik“ Bolesława Prusa natrafiłem pod datą 13 marca 1878 roku na następującą przypowieść o kozie: „Była sobie jedna koza, która mieszkała obyczajem przodków w zwykłej stajence, żywiła się pomyjkami i suchą miotłą, zaś gospodarzowi swemu przynosiła nader skromny pożytek.

Tedy rzekli gospodarzowi dobrzy sąsiedzi:

— Uczyń, aby koza twoja przynosiła ci większą prowizję, a ponieważ Darwin mówi, że wszelaki zwierz uformował się z innego, więc i ty utwórz z niej na przykład — jesiotra. Będziesz miał z potomków jej kawior, droższy nad kozie mleko, a i ze zwłok jej otrzymasz mięso jesiotrze, którego funt nowej miary wartuje 30 sztuk pieniędzy.

Ponieważ słowo zdało się mądrym, zwołał więc gospodarz czarnoksiężników i doktorów, aby mu z taniej kozy drogiego wyhodowali jesiotra.

Rzekł tedy jeden czarodziej: — Kosmata jest i należy ją oskubać. — Lecz gdy rozpoczął swój kunszt, skóra kozia, zamiast stać się podobną jesiotrzej, spuchła i krwią zaszła. Wtedy gospodarz widząc złe schwycił kosztur i nieudolnego czarnoksiężnika precz odegnał.

— Nogi jej zawadzają! — przemówił drugi znachor. — Któż bowiem widział kiedy cztery członki takowe u jesiotra?

Powiedziawszy to zabrał się do wykręcania nóg onej. I stało się wielkie beczenie, a gospodarz, pochwyciwszy kosztur, drugiego wypędził precz.

Tedy przyszedł trzeci, wedle mądrości którego rogi kozie należało usunąć naprzód. I wykonując pomyślenie swoje począł kozę tłuc łbem o ziemię tak, że ledwie z niej ducha nie wypłoszył. Ten wypędzon jest po społu z innymi.

Wówczas otworzył usta swoje czwarty czarodziej i kazał kozę w wodzie pławić, albowiem żywioł, który stworzył i pielęgnuje w sobie jesiotry, najsprawniejszym wydawał się do zamierzonej przeróbki. Ale gdy koza w wodzie zdychać i pęcznieć poczęła, a doświadczeni pastusi kiwali głowami nad jej żywotem, wygnał pan i tego czarodzieja, a kozę do stajni odwieść kazał.

Wywróciwszy oko swoje stała koza na wykręconych nogach i pocierając o żłób grzbiet skrwawiony myślała: „A niechże was szlak trafi z wszystkimi nowościami!...“.

Gospodarz zaś siedząc w teremach mówił:

— Widać jest to koza, z której jako żywo nie uczynimy jesiotra.

I zafrasował się w sercu, obrachowując straty. Przez cały czas bowiem koza nie dawała mleka.

Lecz dobrzy ludzie ulitowali się nad kozią niedolą i pośpieszyli z pomocą. Jeden wsypał do żłobu miarę esencjonalnej koniczyny, drugi miarę soli, którą by troje dużego bydła mierzył, a jeszcze inny wiódł kozę na wysokości, gdzieby mogła ruchu zażywać. Ale sponiewierany twór boży spadł z wysokości i wydęty jest przez koniczynę, zaś od zbytku soli znudzon jest aż do zrzucenia.

Widząc to stary pastuch, który od maleńkości kozę doglądał, rzekł w duchu swym:

— Dosyć tego! Będziesz mi odtąd jak dawniej mieszkała w ubożuchnej stajence, suchą miotłę jadła i piła pomyjki. Albowiem gdyby dłużej praktykowano na tobie wszelakie nowości, jakie tylko są pod słońcem, zdechniesz i do przodków swych odejdziesz.

Stało się więc, że nieszczęsna koza rano, w południe i wieczór, w piątek i świątek jadła tylko suchą miotłę i piła pomyjki, choć innym kozom dawano słomę i kapustę, sól i koniczynę, tudzież wywodzono je na spacer.

Tedy młodsi pastusi rzekli do starego pastucha, który kozę od maleńkości wychował:

— Trzeba by ją uczesać.

— Nie trzeba — mówił stary — bo jej zbolały grzbiet urażą!

— Dać by jej kapusty?

— Nie można, bo nie strawi!

— Podsypać soli trochę?

— Nie godzi się, bo jej onych dni dano soli za wiele!

— Wyprowadzić by ją na przechadzkę?

— Nie wypada, bo jej przechadzka zaszkodziła!

Wszczął się zatem wielki gwar i kłótnie, stary bowiem pastuch wciąż pasł kozę pomyjkami, a młodzi upominali się w niebogłosy, aby za przykładem innych kóz dawano onej niebodze kapustę i siano, sól i koniczynę.

Nazywali tedy młodzi starego obskurantem i ogłupiaczem, a on ich zdrajcami i nowatorami, którzy znadź chcą z kozy zrobić jesiotra i przyczynić jej udręczeń. I stało się wielkie zgorszenie i rozdwojenie, przy którym koza schudła jak szczapa i beczała zaś głosem nieludzkim.

Tyle jest słów przypowieści na potrzebę dzisiejszą“.

Przeczytałem tę przypowieść kilku kolegom po piórze. Śmieli się do łez, zachwycali się Prusem i byli w tak dobrych humorach, iż odeszła mnie ochota, aby przypomnieć im słowa Horodniczego: „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!“.

Jerzy Andrzejewski

KUŹNICA

W Pałacu Staszica, siedzibie Polskiej Akademii Nauk, przyjął nas Sekretarz Akademii prof. Stefan Żółkiewski, jeden z współtwórców i pierwszy redaktor naczelny „Kuźnicy“.

— Mówić, że byłem inicjatorem tego pisma, jest rzeczą niezbyt dokładną — zaznacza prof. Żółkiewski. — W okresie kiedy powstawała „Kuźnica“, pracowałem w Ministerstwie Oświaty i w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zajmowałem się zagadnieniem reformy szkolnictwa, o literaturze myślałem wtedy niewiele. Istniała jednak niewątpliwie pewna siła ciążenia zespołu ludzi, który w okresie okupacji, od 1942 roku, wydawał związane z Partią czasopismo literackie „Przełom“. Wśród piszących tam byli: Jastrun, Kott, Wł. Bieńkowski, byłem ja, Duracz, Tarski. Ten zespół literacki utrzymywał kontakty z takimi pisarzami jak Nałkowska, Dobrowolski, Andrzejewski, Kornacki i Boguszewska, Wyka, Matuszewski, Król... Po wojnie od razu ujawniły się dążenia do zorganizowania tego środowiska na nowo. Inicjatywa wyszła bodajże od Nałkowskiej, Borejszy i Kotta. I oni to właśnie zaczęli mnie odciągać od moich szkół do spraw literackich.

W Łodzi na Bandurskiego 8 zamieszkali literaci. Niektórzy z nich zetknęli się ze sobą już w Lublinie. Do Lublina bowiem przybyli pisarze, uczestnicy ruchu podziemnego — Jastrun, Król, Ozga Michalski, i pisarze żołnierze Pierwszej Armii, jak Borejsza, Putrament, Pasternak, Hertz. Wszyscy ci ludzie spotkali się później w Łodzi i w ten sposob powstało pierwsze powojenne środowisko literackie. Pierwsza redakcja „Kuźnicy“ utworzyła się właśnie z najczynniejszych ludzi tego zespołu. Z biegiem czasu przyjechali również z Krakowa K. Brandys, Dygat i J. Żuławski. W pierwszym komitecie redakcyjnym ze starszych pisarzy znalazła się Nałkowska, która przez cały czas wiernie z „Kuźnicą“ współpracowała, z młodszych najbliższym był Jastrun, który zajmował się poezją w piśmie, Kott, Ważyk, Hertz i Brandys, sprawy teatru objął J. Żuławski, który poza tym reprezentował wówczas politycznie lewicę PPS wojującą o zjednoczenie. Prozaikiem, który prawie wszystkie swoje powojenne nowele poraz pierwszy drukował w „Kuźnicy“, był Adolf Rudnicki; stanowiły one zawsze sensację literacką. Poza mną, Kottem i Jastrunem, zespół redakcyjny nie był związany z ruchem partyjnym z czasów nielegalnych, należący do niego pisarze związali się z Partią właśnie w okresie walki ideowej, prowadzonej przez „Kuźnicę“. Sekretarzem redakcji, człowiekiem, który najwięcej pracy wkładał w powstanie każdego numeru, był Matuszewski, redaktorem graficznym Kajetan Sosnowski. Nazwą swoją „Kuźnica“ miała sięgać tradycji myśli postępowej aż gdzieś po czasy kołłątajowskie.

— Czy moglibyście, profesorze, przypomnieć naszym czytelnikom również problemy polityczne, artystyczne, które kształtowały niewątpliwie profil pisma, i którymi żyło wówczas środowisko pisarskie?

— Czuliśmy się pismem społecznym; chcieliśmy na froncie literackim i przy pomocy środków literackich prowadzić tę samą walkę z reakcją, walkę o zwycięstwo rewolucji, którą prowadziła Partia na czele kształtującego się obozu postępu. Wiele uwagi poświęcaliśmy przeto żywym jeszcze tendencjom faszyzującym, temu wszystkiemu co było wrogie uspołecznieniu przemysłu, reformie rolnej i broniło starego. Wojowaliśmy z reakcją mikołajczykowską. Staraliśmy się przede wszystkim zdobyć i oczyścić z tego wszystkiego świadomość inteligencji. Popularyzowaliśmy marksizm zarówno w zakresie filozofii jak estetyki. Wszystko to działo się nie bez błędów i wahań, ponieważ zespół nasz sam się dopiero ideowo urabiał, przechodził szkołę partyjną, nie zawsze i nie każdy z celującymi postępami. Zagadnieniem, które szczególnie nas wtedy fascynowało, było naukowe rozumienie procesów przeobrażeń społecznych. Marksizm ukazywał nam urzekającą perspektywę prawidłowości tych procesów, ich uchwytności środkami intelektualnymi, zrozumienie, a przeto i zapanowanie nad tymi procesami, podczas gdy burżuazyjny irracjonalizm socjologiczny był teorią szczególnie groźną, bo w jego perspektywie potworności faszyzmu wydawały się czymś nieuniknionym, siłą i klęską żywiołową, która znowu może nadejść nie wiadomo skąd i dlaczego, może wszystko zniszczyć, lub jak burza przejść bokiem. Marksizm natomiast wskazywał, że przed faszyzmem, przed grozą wojny można i należy się bronić, uczył niezawodnej strategii i taktyki tej walki.

Interesowało nas wszystko co się w Polsce działo: i reforma rolna, i sprawy przemysłu, nowa rola nauki, i Rady Narodowe, reforma szkolnictwa i Związki Zawodowe, słowem wszystko to, co powstawało w dziedzinie gospodarczej, społecznej, ustrojowej przenikało jakoś na karty „Kuźnicy“.

— No dobrze, ale jak było z literaturą?

— Sprawy literatury były również nie na ostatnim miejscu. Chodziło nam o literaturę, która by się angażowała w walce społecznej po stronie postępu, która by przywróciła literaturze polskiej godność, jaką posiadała ona w dobie walk narodowo - wyzwoleńczych. Sądziliśmy, że właśnie takie wiersze, jakie pisał Jastrun w „Rzeczy ludzkiej“, Ważyk w „Sercu granatu“, są istotnie poezją zaangażowaną w walce, poezją, która może tej walce dopomóc właśnie dlatego, że zmieniła swój charakter w stosunku do schyłkowych tendencji literatury burżuazyjnej, że wróciła jej dyscyplinę uczuć istotnie ogólnoludzkich, że wyrażała wzruszenia przeżywane przez cały walczący naród, wypowiadała myśli i uczucia człowieka pełnego, nie ograniczała się do sfery całkowitej prywatności, ulotnej, nieuchwytnej. Była to poezja interesująca się człowiekiem w jego walce i pracy, w jego poszukiwaniu nowego, nie miała charakteru formalnych eksperymentów, stanowiła wyjście na szeroką drogę narodowej i ogólnoludzkiej rewolucyjnej tradycji literackiej, wyjście z ślepego zaułka poezji zwłaszcza ostatnich lat międzywojennych, poezji ludzi porażonych, nie rozumiejących, skazujących siebie na błazeńską rolę wiecznych obrabiaczy ćwierćfabrykatów, po prostu samego materiału środków poetyckich, coraz bardziej oderwanych od jakiegokolwiek sensu. Chodziło nam o poszerzenie horyzontu doświadczeń literackich, wyjście poza wąskie środowiskowe, znane typy literackie, właściwe tym środowiskom, w jakich obracała się literatura schyłku XX w. Chodziło nam również o przezwyciężenie poetyki czystych konstrukcji wyobraźni, poetyki deformacji, tzn. poetyki jawnego epigonizmu literatury ostatniego dziesięciolecia międzywojennego. Nie równało się to oczywiście potępieniu, zerwaniu z całą literaturą międzywojenną. Bliska nam była twórczość Zofii Nałkowskiej, jej „Granica“ czy „Medaliony“, wyciągaliśmy rękę do Boguszewskiej i Kornackiego, autorów pierwszych tomów „Poloneza“, witaliśmy entuzjastycznie każdy krok, jaki na drodze rozwoju literackiego robił Breza czy Andrzejewski. Oczywiście i tu nie szło wszystko gładko. W wielu sprawach brakowało nam jasności sądu, z pewnością twórczości wielu pisarzy, którzy obiektywnie byli naszymi sojusznikami, nie umieliśmy docenić. Mam poczucie tego, że nie umieliśmy się dogadać dość wcześnie z Dąbrowską, Iwaszkiewiczem, Gojawiczyńską, ale też i oni porządnie się na nas boczyli, zwłaszcza Dąbrowska. W stosunku do Gojawiczyńskiej zawiniło na pewno nasze młodzieńcze doktrynerstwo. Chcieliśmy tępić naturalizm istotnie obniżający lot naszych pi-

(Dokończenie na str. 6)

Ankieta „Nowej Kultury"

Pisarze wobec dziesięciolecia

JAN ŚPIEWAK:

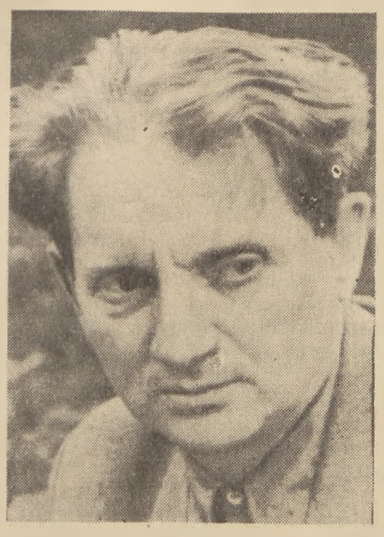

Parę miesięcy temu otrzymałem zaproszenie do udziału w ankiecie. Ankieta zawierała jedno pytanie, które było jasne i wyraźne. Ale jasność sformułowania bynajmniej nie oznacza łatwości. Toteż minęło wiele tygodni, zanim usiadłem do pisania. W ciągu tego czasu zawalony byłem rozmaitymi pracami. Lekkomyślnie podpisane umowy straszą. Trzeba się dwoić i troić, aby zdążyć na czas. Tego pilnują redaktorzy i buchalterzy. Walka pisarza z czasem — albo właściwie o czas — jest niezmiernie uciążliwa. Nie wiem, jak radzą sobie prozaicy, ale poeci muszą być edytorami, recenzentami, tłumaczami a dopiero w wolnych chwilach mogą oddawać się własnej twórczości. Tylko, że wolnych chwil jest bardzo mało.

Myślałem, że w ciągu tych miesięcy proste sformułowanie ankiety rozjaśni się w moim umyśle i usystematyzuje. Zastanawiałem się, czy aby w jednej wypowiedzi mam scharakteryzować dziesięć lat literatury polskiej? Nie jestem zawodowym krytykiem, nie dokonałem ani w tym ani w innym okresie wynalazkow. Pamiętam, parę lat temu, jeszcze w Łodzi, kupowaliśmy z Jasiem Huszczą papier maszynowy. Dostaliśmy dwie śliczne ryzy. Huszcza oderwał obwolutę i powiedział do mnie: „I pomyśleć, że na tym można napisać „Pana Tadeusza". — Po czym zrobiło się nam smutno. Oczywiście ani my ani nikt z żyjących „Pana Tadeusza" nie napisał.

Mamy wielu i różnych poetów. Zastęp ich jest pokaźny, a w tym różnym i pstrym zastępie widzę również siebie. Jakież więc mam moralne prawo do przybierania pozy gromowładnego Zeusa? Gdzie mam szukać precyzyjnych kryteriów oceny poezji (bo to mnie przede wszystkim interesuje) w tym okresie, kiedy kryteria były tak zmienne jak humory podlotka? Nie mam i nie mogę jeszcze mieć wyraźnego dystansu do tych czasów. Nie jestem i nie mogę być bezstronny w ocenie dziesięciolecia.

Jedno wydaje mi się bezsporne. Jesteśmy niecierpliwi. Chcielibyśmy wzorem zacnych i gospodarnych bilansistów kończyć każdy dzień usystematyzowanym bilansem. A zaczynając dzień następny, kończyć go również bilansem.

Dziesięć lat w życiu pisarza to bardzo wiele. Mogą to być lata wzlotów, potknięć, podźwignięć, ciężkich walk i pracy. Dziesięć lat najszczerszych rozmów i dyskusji z samym sobą. Dziesięć lat uważnego patrzenia na siebie: czy jesteś zgodny z sobą? Czy jesteś szczery, czy nie poślizgnąłeś się w jakiś sposób, czy nie załgałeś się, czy nie porosłeś, broń boże, sztucznym bronzem, czy nie ustawiałeś siebie chociaż w myślach na chwiejnym pomniczku z dykty? A tak przecież bywa. Trzeba bardzo surowo patrzeć na siebie. Jestem przekonany, że zalety i wady naszej literatury zależą przede wszystkim od samych pisarzy, od ich charakteru, od ich ideowo-moralnej postawy. Jakże żenujące wrażenie sprawiały i sprawiają na mnie dyskusje literackie, w których potknięcia własne pisarze często przerzucają na administratorów. Wydaje mi się, że nie jest to słuszne. Trzeba najpierw zobaczyć siebie.

Nigdy literatura nie kształtowała się w atmosferze cieplarnianej. Nigdy nie rozwijała się w idealistyczno-inteligenckich abstraktach. Zawsze wymagała od pisarzy hartu woli i świadomości wybranej drogi. Dla ścisłości dodajmy: drogę swoją pisarz powinien rozumieć nie w sposób mechaniczny, ale perspektywiczny, w zależności również od swoich możliwości twórczych.

Kiedy patrzę w dużym skrócie na swoją dotychczasową drogę pisarską, widzę ciągłe borykanie się z sobą. Nie chciałem zastygać w sobie. Nigdy nie pozwalałem wierszom swoim skamienieć. Raczej niech będą szorstkie, niż by miały świecić fałszywymi ogniami cudzych odblasków. Nie rozumiałem nigdy podziału na to co osobiste i na to co społeczne. Liryka, jeśli jest ludzka i nie stylizowana, musi wyrażać poetę, stając się tym samym świadectwem jego drogi i niekłamanego rozwoju jego świadomości. Z nieufnością patrzę na literackich prymusów, którzy zawsze mają rację. Nigdy nie ukrywałem swoich potknięć.

Liryka (innych rodzajów poetyckich w gruncie rzeczy nie mamy) jak rzadko który rodzaj literacki nie znosi nawet minimalnego kłamstwa. W wierszu jak w próbówce wszystko jest widoczne. Dlatego też wydawało mi się zawsze, że nie wolno pozować, udawać kogoś kim się w rzeczywistości nie jest. Nie lubię podnoszenia się na palcach, nigdy nie miałem w sobie cech apostolstwa. Drobne poczucie humoru i własnej śmieszności odcinało mnie zawsze od tego rodzaju inklinacji.

Wyrywałem się z domu inteligenckiego, mierził mnie świat mieszczański z jego moralnością na pokaz. Ucieczki te zbliżyły mnie przed wojną do kół postępowej młodzieży. Pamiętam pierwsze wieczory autorskie z Pasternakiem, Lecem i innymi, których imiona i twarze niestety rozwiały się w mojej pamięci. Pamiętam dyskusje w Warszawie w „Akademicko-Literackim Kole" czyli w tzw. „Akli", która gromadząc w tym czasie postępową młodzież, odgrywała znacznie większą rolę niżli obecnie dostojny, posiadający cały pluton dyrektorów Związek Literatów. Tam regularnie odbywały się „sekcje twórcze", na które przychodzili również wybitni pisarze i krytycy. Dyskusje były doprawdy gorące i twórcze. Nie było wtedy miękkich krzeseł ani piekielnie mrugających lamp jarzeniowych. Mieliśmy teatrzyk „Czerwoną Latarnię", a właściwie ruchomą estradę, której występy w fabrykach cieszyły się dużym powodzeniem. Teatrzyk długo prowadził Lucjan Szenwald a patronował mu Leon Schiller. Ilekroć przychodziło się do Schillera, nigdy nie odmawiał pomocy i rady. Pomagał czym mógł. Pamiętam półlegalne wieczory autorskie na „Długiej". Zwalało się moc narodu. Tylko że potem trzeba było bardzo sprytnie czmychać okólną drogą do domu, aby nie wpaść na gęsto rozsianych szpików. W okresie wzmagającego się terroru i ekscesów nacjonalistycznych robiliśmy wspólne wieczory, na których swoje utwory czytali pisarze polscy, ukraińscy i żydowscy. Często występował wtedy z nami Jarosław Gałan. A wyjazdy w teren? Nieraz jeździło się do dzielnic bezrobotnych, bezdomnych, do Annopola, do stęchłych baraków, w których wygłodniali mieszkańcy czekali, aby opowiedzieć, jak żyją. Opowiedzieć i sprawdzić później jak to zostało opisane.

Tak się złożyło, że nie brałem udziału w żadnych inteligenckich strajkach, ale pomagałem szewcom w ich słynnym strajku. Nie było w tym cienia szukania przygód, nie byłem działaczem, miałem bardzo mgliste pojęcie o sztuce i literaturze. Pociągało mnie to co zdawało mi się nowe i nigdy nie spotykane. Tym, którzy ze mną po wojnie polemizowali, wyda się dziwne to, że w gruncie rzeczy zaczynałem od Majakowskiego. Olśniła mnie jego odwaga, jego pionierskość. To co pisał i jak pisał, było dla mnie absolutnie nowe. Pierwsze zetknięcie się z jego poezją było dla mnie wielkim wstrząsem. Wstrząsem prawdziwym, ponieważ przyjmowałem jego poezję bezpośrednio, a nie od jego naśladowców ani też od jego biografów. Dla młodzieńca, który przeciwstawiając się własnemu środowisku szukał dla siebie drogi, było to odkrycie niepowtarzalne. Próbowałem uczyć się od Majakowskiego. Ale nic z tego nie wyszło. Grymasić nie miało sensu. Majakowski był i będzie dla mnie przykładem bezkompromisowej odwagi. Był niepowtarzalnym nowatorem. Był poetą, u którego liryka łączyła się bezpośrednio z śmiechem, a patos z satyrą. Uczyć się u Majakowskiego, rozumiałem, oznaczało walczyć o odwagę a nie z odwagą. Toteż i obecnie uważam, że powtarzać Majakowskiego można tylko i wyłącznie w sposób dialektyczny. Trzeba było mieć jego świadomość światopoglądową, a ja tego nie miałem.

Nudziły mnie sentymentalne, melodyjno - refleksyjne epigoństwa rozmaitych grup i grupek. Rozkrzyczani, rozhisteryzowani epigoni przesłaniali prawdziwe wielkości, nadając niekiedy ton poezji. Drobny historyczny dystans, który dzieli nas od tych czasów, pozwala nam obecnie widzieć dokładniej. Bezpowrotnie zmarły setki tomów wierszy, nic nas już nie obchodzą kłócące się grupy i koterie, ani ich ambicje ani ich autoreklama. Pozostali prawdziwi twórcy. I trzeba oddać sprawiedliwość naszym wydawcom, że większość doprawdy twórczych poetów już wydano. A krzywdy wynikające z chwiejności sądów niektórych edytorów zostaną szybko naprawione.

Dwadzieścia lat temu to co nie było zmurszałe, co nie było przereklamowane, musiało pociągać młodzieńca. Bardzo mi się podobały wiersze Broniewskiego. Większość z nich umiałem na pamięć. O Broniewskim pisałem w „Wirach", zapomnianym obecnie, rzecz jasna, periodyku. A równocześnie imponowały mi zwarcie skomponowane wiersze Przybosia i urocza wyobraźnia Czechowicza. Kiedy przychodziłem razem z innymi młodymi poetami do Czechowicza najpierw na Powiśle a potem na czwartki do półsutereny na Narbutta, nie myślałem, że będę kiedyś wydawał jego pośmiertny „Wybór wierszy".

Jak połączyć to wszystko, powie niejeden zadufany krytyk. Majakowski, Broniewski, Przyboś i Czechowicz. Wymieniam tu poetów, którzy podobali mi się najbardziej. Czy był to li tylko eklektyzm, poszukiwanie wszelkiego rodzaju nowości? Przecież to zupełnie różne indywidualności twórcze, różne wzory. — Tak, ale jeśli się nie chciało być kopistą, wiele można się było u tych poetów nauczyć. Przede wszystkim nauczyć się niezastygania we własnym wyrazie twórczym, sztuki kondensacji, odpowiedzialności za wypowiedziane słowo, konkretności, ostrości widzenia i braku samouwielbienia. Nie ma i nie może być nic bardziej przykrego dla poety, niż kiedy zaczyna sam siebie naśladować i siebie przedrzeźniać. Tak więc — czy ci poeci mogli czegoś nauczyć? Oczywiście. Czy nauczyli mnie, nie wiem.

Wojna nie pozwoliła mi pisać. Wróciłem późno, schorowany, ciężko okaleczony. Przyjechałem do Łodzi, kiedy „Kuźnica" była w pełni swojego rozkwitu. Za mną szły cienie wojny, szedł za mną popiół rozstrzelanych przez hitlerowców rodziców i całej rodziny. Nie odpowiadała mi wykoncypowana klasyka „Kuźnicy", bardzo inteligentne ich artykuły o poezji nie mogły do mnie trafić. Moje oczy były jeszcze ranne, toteż takie same musiały być moje wiersze. Nie inne. Czyż miałem ufryzować się na Greka, albo przywdziawszy przykrótkie porteczki optymistycznie hopsasać? Czyż miałem patetycznie wymachiwać rękoma w takt dźwięcznego rymu, nad nieznanym grobem moich najbliższych?

Mój pierwszy tom wierszy, wydany po wojnie, zanim się ukazał w sprzedaży, został złośliwie zjechany w „Nowej Kulturze". Nieinteligentne uwagi recenzenta podparte zostały wymysłami pod moim adresem. I trzeba przyznać „Nowej Kulturze" konsekwencję, bo dotychczas żadnej recenzji z mojej twórczości nie umieściła, chociaż od tego czasu dużo pisałem i przeszedłem dużą ewolucję twórczą.

Nie rozumiem tzw. warszawsko-prowincjonalnych krytyków i recenzentów, którzy mając dobry wzrok udają ślepców. Nawet kompozycja tej książki wskazywała, że cykl tych wierszy należy traktować jako swego rodzaju dramatyczny poemat o bardzo wyraźnych konfliktach, które rozwiązują się przy końcu. Myślę, że tak samo jak dramaturg i powieściopisarz, poeta ma absolutne prawo do przeżywania własnego dramatu. Przykładem dla mnie są piękne wiersze Władysława Broniewskiego drukowane niedawno w „Nowej Kulturze". Nie pisałbym o tym wszystkim, gdyby nie to, że nie byłem wyjątkiem. W ten sam sposób potraktowano twórczość każdego, kogo gnębiły wspomnienia wojny. Ukuto nawet specjalny termin: „zarażeni śmiercią". Nic bardziej fałszywego. Literatura tzw. obozowa niestety zatrzymała się na „Dymach nad Birkenau" i „Przeżyłam Oświęcim", a szkoda. Wielkie to mogły być dokumenty zbrodni hitlerowskiej. Przecież neohitlerowcy w setkach publikacyj wybielają się jak mogą. Ich publikacje zalewają rynki wydawnicze, wpływają na opinię. Twierdzą oni, że nie mordercy są winni, lecz zamordowani. A nasi pisarze, ludzie, którzy na własnej skórze przeżyli obozy, milczą. Dlaczego nie piszą, czy z braku racji? Widząc to co się odbudowuje, nie można zapominać o milionach zabitych.

Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek bądź nie tylko w ramach jednej wypowiedzi, ale nawet w cyklu artykułów mógł scharakteryzować dziesięciolecie naszej literatury. Aby uczynić to, trzeba dokładnie zobaczyć wszystkie procesy i główne i uboczne, a to wcale nie jest łatwe. Nauczyliśmy się dyskutować abstrakcyjnie, a trzeba patrzeć bardzo konkretnie, omawiając konkretnych pisarzy, konkretne utwory. Jedynie w ten sposób możemy zobaczyć literaturę w jej dialektycznym rozwoju. Nie unośmy się zbytnio wzwyż! Odrywając się od ziemi, stajemy się frywolnymi aniołkami. A z tym nam niezbyt do twarzy. Nie stawiajmy pochopnie cenzurek. Cenzurki, które tak obficie padały na naszych zjazdach, wcale nie były życiodajną manną, często niestety była to jakże smutna zabawa w kręgle. Mało komu ona pomogła, ani tym, których zbytnio windowano, na jeden przeważnie sezon, ani tym, których zostawiano na drugi rok w tej samej klasie, bo takie były humory prelegentów.

Wielkie sprawy, których jesteśmy nie tylko świadkami, ale w których czynnie bierzemy udział, wymagają od pisarza siły woli i skrystalizowanego światopoglądu. Bez tego nie można tworzyć. Bez tego będziemy się chwiać w różne strony i będziemy brać pozory zjawisk, zamiast zjawiska. A dyskutować trzeba, tylko bez inwektyw. Te zostawmy pięknoduchom.

Jest o czym dyskutować. Mnie osobiście interesuje problem stylów, o którym mówiono na Zjeździe Pisarzy Radzieckich, a o czym wspominał mimochodem w swej wypowiedzi Adam Ważyk. Przecież u nas dotychczas analizą stylu pisarskiego nikt się nie zajmował. A jeśli napomykano o tym, to niestety w sposób przeważnie bałamutny. Próbowano ograniczyć ilość stylów poezji naszej do minimum, przyklejając do nich różne etykietki, przeważnie nic z tym nie mające wspólnego. Próbowano niekiedy styl poety utożsamiać z jakąś postawą ideologiczną, bez względu na to o czym pisał dany poeta, jaką problematykę poruszał w swoich utworach. A przecież stare powiedzenie „styl to człowiek" jest chyba nadal słuszne.

Nasza poezja jest różnorodna i to między innymi stanowi o jej wartości. Niestety, wydana ostatnio antologia poezji dziesięciolecia, mimo najlepszych chęci redaktorów, spłaszczyła rzeczywisty obraz. Biorąc za wzór jeden styl, resztę poetów starannie podstrzyżono na tę samą modłę. Redaktorzy wybierali utwory pod względem stylistycznym raczej podobne do siebie. A mnie się zdaje, że trzeba było przyjąć odwrotną metodę. Zaostrzyć różnice między poetami, wybierając utwory najbardziej właściwe dla ich talentu. Zresztą ten ideał stylu, pod który podciągano wszystkich poetów, wcale nie jest najbardziej charakterystyczny dla naszej poezji. Powstał w sumie wyraźny tonik epigoński, no i daje się zauważyć dziwne zjawisko. Co najmniej jedną trzecią utworów można śmiało dołączyć do Tuwimowskiej antologii „zapomnianych poetów dziewiętnastego wieku". Nie jest to przeważnie wina poetów. Z każdego poety można zawsze wybrać jakie się chce utwory. Zwęziło to znacznie problematykę naszej poezji.

Niechcący zabawiłem się w mentora. Wiem jak trudno przedzierać się przez gąszcz spraw, zagadnień i nieporozumień. Ileż normatywnych poetyk w ciągu tego dziesięciolecia próbowali stworzyć różni poeci i tzw. krytycy. Był czas, kiedy w każdym piśmie obowiązywała swoja własna normatywna poetyka. A mnie się zdaje, że każdy wiersz powinien posiadać swoją adekwatną formę, w zależności od tego co się chce w nim powiedzieć. Mały drobny wiersz liryczny, a jakże ściśle, precyzyjnie musi być zorganizowany, jeśli ma istnieć niezależnie od autora i stać się dla czytelników akumulatorem myśli i uczuć. Każdy poeta marzy o napisaniu przynajmniej jednego takiego wiersza, ale rzadko kiedy mu się to udaje.

Chociaż piszę stosunkowo od dawna, nie czuję się zawodowym pisarzem. Cóż by to była za śmieszna sytuacja, gdybym się znalazł w roli człowieka, który ukończywszy dawno osiemnaście lat, zawodowo pisze do rymu. Dlatego lubię przebywać wśród ludzi pracujących w konkretnych zawodach. Tam znajdowałem sobie zawsze przyjaciół. Tam moja wiedza o życiu i o sztuce rozszerzała się. Czyż dobry tokarz nie nauczy lepiej sztuki precyzji od niejednego błyskotliwego profesora literatury? Przecież od nacięcia śruby nieraz zależeć może działanie skomplikowanego mechanizmu, a nieraz wyraźne poplątanie całych epok w pracach krytycznych wcale nie wstrzymuje mechanizmu krytyki, jakoś kręci się dalej. Co najwyżej poniektóry powie: przepraszam, pomyliłem się, Balzaka wziąłem za Dickensa a spadek kursów giełdy zbożowej w Odessie za Sonety Krymskie.

Jak większość ludzi mojego pokolenia, wiele przeżyłem i dlatego nauczyłem się cierpliwości w ocenianiu sztuki.

Jan Śpiewak

Z KONKURSU NA PLAKAT FESTIWALOWY

Anna Hoffmanowa
(I nagroda w konkursie na plakat imprez artystycznych)

Olga Siemaszkowa
(II nagroda w konkursie na festiwalowy plakat centralny)

Tomasz Gleb
(III nagroda w konkursie na festiwalowy plakat centralny)

Czerwona czapeczka

(Dokończenie ze str. 1)

megafon podawał wynik, w głosie spikera dygotało wzruszenie.

Było już blisko południa, góry raziły oczy gładkim połyskiem. Następny miał skakać Wieczorek, zawodnik ze Śląska, młodszy od Marusarza prawie o 20 lat. Na trybunach wszczął się wesoły gwar, wszędzie migały barwne chustki i roześmiane złotobrunatne twarze. Wdałem się w rozmowę z kimś, kto mi tłumaczył, że był to ostatni skok w życiu Marusarza. Podobno sam wczoraj oświadczył, że chce jeszcze raz poczuć Krokwię pod deskami, a potem już tylko szkolić młodych.

— Pan wie ile razy on stąd skakał? Ile lat tresował to białe cielsko?

Przysłoniłem oczy, żeby popatrzyć na skocznię. Rzeczywiście wydała mi się podobna do białego niedźwiedzia o olbrzymim, rozrosłym tułowiu i łbie zanurzonym w świerkach; pochyłe plecy nadstawiał narciarzom do skoku.

— Uwaga, uwaga! — odezwał się megafon. — Skacze Antoni Wieczorek!

Muskularny, opalony chłopak w granatowym swetrze z białymi jeleniami zadziwił trybuny ślicznym, długim skokiem. 90 metrów! Nowy rekord! Tego się nikt nie spodziewał. W naszych oczach proporzec oznaczający miejsce wylądowania zatknięto o metr dalej. Patrzyliśmy na to oszołomieni. Dwukrotnie w ciągu kwadransa Krokwia dała sobie wydrzeć płat śniegu, daremnie zdobywany przez lata.

Właściwie było już po wszystkim. Sporo ludzi schodziło z trybun, zbliżała się godzina obiadu. Ale w megafonie dały się słyszeć niewyraźne odgłosy, spiker z kimś jeszcze na boku rozmawiał, można było rozróżnić strzępki słów: — — Co?.. Nie, naprawdę?.. Zaraz, zaraz!.. — i nagle głos zbliżył się, urósł, napęczniały z radości:

— Tak! Marusarz! Marusarz po raz drugi atakuje rekord!

Ludzie biegli z powrotem do trybun i znowu powiał przeciągły, stłumiony okrzyk: czerwoną czapeczkę widać już było na połowie stoku.

W sporcie obowiązuje piękna zasada walki: pokonanego nie pociąga się do odpowiedzialności. Zwycięstwo i przegrana wyrażają się w cyfrach; centymetry i sekundy stanowią wystarczające zadośćuczynienie. Ta sprawiedliwość, precyzyjna i niezbita, zawsze ściągała tłumy na stadiony i bieżnie. Widziałem porywające zwycięstwa i wspaniałe porażki. O czym tu wątpić? Chwile, gdy piłka grzęźnie w siatce lub kiedy taśmę przecina pierś biegacza — to chwile nieodpartej prawdy, to fakty o błyskawicznej dobitności, wywołujące zachwyt albo rozpacz, lecz nigdy nienawiść. Kogo tu potępiać? Gdzież znaleźć równą bezinteresowność triumfu i klęski? Nie ma tu winowajców. Gra toczy się o jedność mięśni i woli, materii i wysiłku: prześcignąć sekundy, trafić jak najcelniej — serce i płuca przemienić w ruch szybszy niż myśl, ruchem pokonać czas i przestrzeń... W tej sprawiedliwej grze mieści się godność olśniewająco ludzkiej sztuki sportu.

Marusarz podjął wówczas samotną walkę z Krokwią. Nie miał przeciwników, był sam. Gdy ukazał się na rozbiegu, wiedzieliśmy że chce teraz zwyciężyć już tylko siebie. Że swoją przeszłość, lata zaciekłych doświadczeń, wolę wypróbowaną w dawnych skokach, będzie tu zmuszał do owładnięcia wąskim skrawkiem śniegu, który mu dotąd nie uległ. Miał przeciw sobie tylko ślad poprzednika i biały próg skoczni. Powietrze tego dnia było lekkie, nie stawiało oporu. Znowu rozpostarł ramiona.

Skoczył mniej niż poprzednio. Kiedy dotknął śniegu, trybuny wydały z siebie głuche westchnienie. Zanim odpięto mu deski, patrzył z dłonią u brwi ku skoczni, gdzie oznaczano jego ślad. Utkwiło mi w pamięci, jak stał z głową zwróconą w stronę swego skoku, obliczając zapewne siły do następnych, rozrosły i wysmukły, górujący ramionami nad ludźmi pochylonymi do jego nart.

Nikt już nie odchodził. Zrozumieliśmy, że będzie walczył dalej. Jacyś goście, zwabieni z Krupówek wieścią o skokach Marusarza, wchodzili ukradkiem na trybuny, pytając szeptem dlaczego jest tak cicho. Obok mnie przystanęła gromadka górali, których fiakry czekały przed skocznią. Chłopcy w milczeniu obserwowali szczyt, podając sobie lornetę na przemian z rąk do rąk.

Jest! Jest!.. Pojawił się bardzo wysoko, na najwyższej krawędzi rozbiegu. Ktoś zawołał, że nie, to omyłka... Ale chłopcy krzyczą, wskazują ręką. Wcale nie łatwo go teraz dojrzeć gołym okiem: ciemny, prawie nieruchomy punkt u styku powietrza ze śniegiem. Znowu zapadła cisza, słychać tylko dalekie dzwonienie sanek. Poruszył się. Czeka. Jakby się nad czymś zastanawiał. Nikt z ludzi na dole nie widzi jego oczu, jego twarzy. Ale on czuje nasz wzrok. On wie, że widzimy tylko jego. Serca nam walą, on jednak czeka bez ruchu, bo jego serce musi być spokojne. Człowiek przed skokiem jest samotny. Nikt mu nie może pomóc; przepaść, która go dzieli od widzów, nie jest tylko różnicą wysokości. Między nim a nami leży strefa milczenia, dzieląca tego, który ma powziąć decyzję — od tych, którzy patrzą. A przecież on swoim skokiem dokona czegoś za nas, to my odbijemy się wraz z nim od szczytu — jego tylko wysiłkiem...

Był to ułamek sekundy: uczynił nieuchwytny skręt nartami, rzucił się w dół, do przodu. Po tym dostrzegliśmy jego głowę pochyloną ku nam z góry. Stał przez mgnienie patrząc na nas z powietrza.

Zwyciężył — ludzie zaczęli wołać, że przeleciał nad śladem Wieczorka. Wszyscy zerwali się z miejsc. Gdzieś podniesiono na ramionach śmiejącą się dziewczynę; powiewała fioletową chustką nad głowami sąsiadów. Ogarnęła nas gorączka, upiliśmy się, chłopcy wrzeszczeli wyrzucając do góry lornetę, mnie ktoś całował, zdaje się że Reszel.

I nagle wszystko się skończyło. Megafon ogłosił wynik: 89 metrów. Wyrównał swój pierwszy skok. Nie chcieliśmy wierzyć. Chłopcy krzyknęli, że to kant, rozległo się parę gwizdnięć. Ale narciarze na stoku pokazywali kijkami świeży ślad.

Było jasne, że Marusarz tego dnia nie będzie już skakał. Nie mógł. Widzieliśmy przecież, jak opadł z sił, jak przyklęknął na śniegu, a potem, gdy mu zdejmowali narty, jak strasznie ciężko oddychał; oczy miał zbielałe, oślepione wysiłkiem. Ostatnim skokiem wszystko już z siebie wydarł, musi się teraz ugiąć, nawet my na trybunach nie mieliśmy już nadziei ani sił.

Czekaliśmy jeszcze aż megafon obwieści zamknięcie skoków. To dziwne, ale nikomu nie chciało się wychodzić. Czasem trudno opuścić miejsce swoich rozczarowań. Chłopcy stali oparci o drewniany pal podtrzymujący trybunę. Lornetę miał teraz najmniejszy, w za dużej czapce z pomponem.

— On jeszcze będzie skakał — powiedział trochę smutno.

Dwaj starsi nic nie odpowiedzieli.

Mały podniósł lornetę do oczu i wpatrywał się w szczyt. Na torze skoczni zostało tylko parę figurek narciarzy. Inni powoli zjeżdżali zakosami ku trybunom.

— On jeszcze będzie skakał, zobaczycie — powtórzył mały z rozpaczą.

— Nie wygłupiaj się — powiedział najstarszy i wcisnął mu czapkę na oczy.

Trzeci się roześmiał:

— Sam skacz. Czwarty raz z rzędu. Życia nie znasz?

Odebrali mu lornetę. Mały był zgrzany. Usiadł pod słupem i zjadł kawałek śniegu.

— Marusarz będzie skakał — szepnął. — Będzie skakał... — Zdjął czapkę i oglądał naderwany pompon.

— Uwaga! — zaryczał głośnik — Marusarz będzie jeszcze skakał! Uwaga!

Narciarze z powrotem podchodzili na tor.

Czwarty skok Marusarza jest słynny w dziejach Krokwi. Był to jeden z owych wyczynów, które później fachowcy wspominają przez lata. Tak się skacze raz na ćwierć wieku. Zapewniano mnie o tym. Marusarz urodził się przed pierwszą wojną światową. Niedawno norweski mistrz Birger Ruud powiedział w wywiadzie dla zagranicznych dziennikarzy, że Marusarz stanowi fenomen zwycięstwa nad czasem: czterdzieści parę lat życia, dwadzieścia parę lat skoków i nieutracone miejsce w czołówce światowych narciarzy! Birger Ruud oświadczył, że nie zna podobnego faktu.

Ale wtedy, swym czwartym skokiem, Marusarz przewyższył nawet to, o czym mówił Birger Ruud. Dokonał czegoś, co przekracza granice fachowych orzeczeń; wzniósł się bardzo wysoko ponad śnieżny obszar swojej specjalności. U kresu zmęczenia, po daremnych wysiłkach, po trzykrotnym rozczarowaniu — raz jeszcze postanowił stanąć przed wzrokiem trybun, które już nie wierzyły, że zwycięży. Tym razem wszystko wziął na siebie, nawet naszą niewiarę. To był straszny, niepojęty skok.

Kiedy pojawił się na grzbiecie Krokwi, wśród świerków, megafon zaczął mu grać „Zbójnickiego". Piskliwe, rozbrzękłe tony góralskiej kapeli musiały do niego docierać: zdawało się, że słucha. Stał bardzo długo i dwukrotnie byliśmy już pewni, że zrezygnował ze skoku. A potym muzyka raptem ucichła wpół taktu. Zniknął. Zniknął mi z oczu...

To chyba słońce poraziło mi wzrok. Zobaczyłem go dopiero jak spadł. Walił się ze stoku na wznak, duży, czarny ciężar przewracał się w kurzawie śniegu, widać było rozrzucone ręce. Wreszcie znieruchomiał u podnóża skoczni. Nie wstawał. Jakaś kobieta krzyknęła.

Widziałem jak go podnoszą. Słaniał się na ugiętych nogach, skręconą, bezwładną rękę przewiesił przez czyjeś ramię. Mówił coś, z trudem chwytając powietrze. Prowadzono go do trybun, a z tyłu biegli za nim chłopcy z lornetą. Najmniejszy, zapłakany, niósł jego czerwoną czapeczkę.

I nagle zewsząd wybuchła wrzawa, ludzie pokazywali sobie proporzec przesunięty naprzód na nowe miejsce: 91,5! Dziewięćdziesiąt jeden i pół metra!

Zazdrościłem mu tego skoku. Mimo że upadł i oficjalnie nie uznano rekordu. Ale jaka piękniejsza rzecz może być dana człowiekowi? Skoczyć ponad głowami patrzących, ukazać im najwyższy ludzki lot. Przedtem posłuchać swojej pieśni. A potem choćby upaść. Nikt już nie może potępić takiego upadku.

Kazimierz Brandys

Warszawa, styczeń 1955.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

CHŁOPIEC W CZERWONEJ ROGATYWCE

Wszystkie dzieci biegają
z golymi głowami
po podwórzu
tylko jeden chłopiec
biega w czerwonej rogatywce
z zielonymi gwiazdkami

Jego matka
wygląda przez okno
i krzyczy
„zdejm to z głowy
słyszysz
bądź jak inne dzieci"

PAPUGA

W moim miasteczku
które burmistrz mógł obejść
dokoła w meloniku
od rana do obiadu
w miasteczku gdzie
przez wiele lat
opowiadano sobie
że stara Szlojmina
urodziła dziecko z głową karpia
chodzili po podwórkach
szlifierze szmaciarze
dziady proszalne
muzykanci cyganie
sztukmistrze
chińczycy z jedwabiami
których tęcze
kryły się w zamkniętych walizach

Czasem na podwórko
wchodził kataryniarz

Bajecznie kolorowa papuga
świeciła szmaragdowym piórkiem
leniwie wyciągała
papierową tutkę
los
muzyka coraz triumfalniejsza
wypełniała niebo i ziemię
chrypła
zamierała
w drewnianej skrzyni

My z wypiekami
na policzkach
gorączkowo
odkrywaliśmy nasz los
pierścionek z fałszywym oczkiem

Kataryniarz unosił
muzykę i papugę

Lecz jej dziwacznie zakrzywiony dziób
i szpony
zatopione były
długo
w naszych marzeniach.

1954 r.

MIŁOŚĆ 1944

Nadzy bezbronni
z ustami na ustach
z otwartymi
szeroko oczami

nasłuchując

płynęliśmy
przez morze
łez i krwi.

1954 r.

ELEGIA

Kończy się ten dzień
Kończy się kolacją
czyszczeniem zębów
pocałunkiem
ułożeniem rzeczy

Więc to był jeden dzień
z tych najcenniejszych dni
które nigdy nie wracają

Co mnie spotkało

Przeszedł minął
od rana do nocy
podobny do zeszłego

Dniu mój
jedyny
co ja zrobiłem
co ja zrobiłem

A może tak trzeba
wychodzić rano
popołudniu wracać
powtarzać kilka ruchów
układać wiele rzeczy

Dniu mój
brylancie najpiękniejszy w świecie
domie złoty
biękitny wielorybie

Łzo w moich oczach

O niezbyt jasne myśli
kiedy stoję z rękami w kieszeniach
i patrzę przez szare pręty deszczu
za którymi zazłocił się klon

Moje usta
które mówiły
prawdę kłamały
powtarzały twierdziły
zaprzeczały żebrały
krzyczały szeptały
płakały śmiały się

Moje usta
układające się
dokoła wypowiedzianych
niezliczonych słów.

1954 r.

JERZY HORDYŃSKI

SYRENA Z WARNY

Wyjęta spod ognistych burz
i ocalona od gniewu
pośród migdałów, cyprysów, róż
na morskim stoi brzegu.

Wzniesiony dumnie ostry miecz
w błękicie jasnym błyskał,
gdy siostrę jej wygnano precz
bez broni i nazwiska.

Jak ironiczny losu gest
szumiała róż muzyka
i zakochanych dziewcząt szept
u wąskich stóp pomnika.

I tylko kwiat miał barwę krwi,
a pancerz niepotrzebny
zasłaniał nieruchome dni,
zagłuszał szmer bitewny.

Jak teraz spadał cicho tak
wodospad ciemnej wody,
na fali chwiał się słońca ptak,
nim nakrył się zachodem.

Lecz tamten czas rozbitym szkłem
w uszach mi jeszcze dźwięczy —
ziemia i morze, już to wiem
nie skuszą łukiem tęczy.

Choć łasi się u kolan ląd,
fontanny wstają pyszne —
przysłaniam wzrok, by ujrzeć dom
i szary kolor Wisły.

WĘDRÓWKI

Eheu fugaces Postume, Postume...
szeptał Horacy
i jeszcze dzisiaj w warszawskiej mgle
ta strofa płacze.

Jego niepokój dalej trwa,
lata mijają
i kiedyś wszystko przysłoni mgła
w grudniu, czy maju.

Już jak zwiastuny złowróżbnych dni
srebrzyste włosy
na ciemnej skroni wskazują mi
śmiertelne losy.

Wędruję, wieczny powtarzam lęk
na kontynentach,
a z tych podróży nie wiele wiem
i zapamiętam.

Mądrzejszy stokroć na drogach pył,
zapowiedź ziemi,
i wiersz łaciński, co pełen sił
szedł między cienie.

PORTRET DZIEWCZYNY Z FAYUM W MUZEUM NARODOWYM

Ta deseczka dwa tysiące lat
dźwiga urodę twych oczu,
usta — jak ciemny kwiat,
włosy — liście lotosu.

I nie piszczałka pogrzebna
pada u naszych stóp,
lecz młodość, trwalsza od drewna,
które zamknęło twój grób.

Może go sypał kochanek
strumieniem ostatnich łez,
a teraz warszawski ranek
nad tobą czuwa — i jest.

I choć nie oglądasz miasta
dziewczyno z trumiennych drzwi,
ono dla ciebie wyrasta
chwałą żyjących dni.

W nim twoja postać rozbłysła
urodą nieznanych chwil,
aby szeptała Wisła
o czym zapomniał Nil.

KRYSTYNA ŻYWULSKA

Gdzie jest tygrys?

Nie zamierzam polemizować z artykułem Wilhelma Macha („O mętnych wodach i czystym nurcie list do przyjaciela" Nr 10 „Nowej Kultury"). Nie mogę tego uczynić z dwóch przyczyn. Po pierwsze: Nie czuję się na siłach równie wnikliwie i głęboko przeanalizować poruszone przez Macha zagadnienia, po wtóre, nawet w wypadku gdybym sobie ten trud zadała, nie potrafię pod większością jego sformułowań odczytać adresata.

Mach pisze: „Wszystko jest skłębione, zmotane, słuszność z niesłusznością, smutna słuszność życzliwych ze stokroć smutniejszymi słusznościami nieprzyjaznych." I może właśnie dzięki temu zagmatwaniu nie wiem zupełnie kogo podstawia konkretnie Mach pod „dywersantów, snobów estetników, wyszukańców, dreszczykarzy, wymuskanych elegantów, pseudo-intelektualistów, lizydżojsów, kręcinosków" itd.

Znam na przykład pewnego snoba, który ma wyraźnie pozytywny stosunek do literatury współczesnej, i znam pewnego bardzo zasłużonego działacza — wzór rewolucyjnej postaci — który przy dyskusjach na temat literatury współczesnej mówi: „Nic nie mogę powiedzieć, mam tę przewagę nad wami, że jej nie czytam".

Ci ludzie nie piszą wprawdzie krytyk literackich, ale ja nie bardzo również wiem, gdzie są ci straszni publicyści, którzy właśnie „za swą pogardę dla współczesnej literatury biorą pieniądze z redakcyjnych kas". Wydaje mi się, że jeśli publicysta pisze źle, to szkoda pieniędzy z redakcyjnych kas, nie tylko za ten rodzaj pogardy, ale za szerzej pojętą pogardę dla czytelnika. A znów jeśli pisze dobrze, to przecież miał prawo oceniać krytycznie wiele pozycji współczesnych i wyrazić swoją słuszną lub niesłuszną opinię. Wydaje mi się, że źli i dobrzy krytycy byli i będą zarówno w stosunku do ocen literatury klasycznej jak i współczesnej. Nie wiem nawet czy ów krytyk, który jeszcze dziś stara się udowodnić, że cytowany przez Macha Kazimierz Brandys jest w swojej twórczości inteligentem z obciążeniami, „judzi głośno i publicznie", czy też takie jest jego głębokie przekonanie.

Dalej nie wiem jakim barometrem mierzy Mach „smutniejszą słuszność nieprzyjaznych", ale obawiam się, że żaden barometr w tych sprawach nie jest dość czuły. O filmie „Pokolenie" słyszałam od kilku członków Gwardii Ludowej, uczestników wielu bohaterskich walk, prototypów Jasia Kronego, że do nich zupełnie nie przemówił. Mnie film bardzo się podobał. Byłam szczerze przejęta i zupełnie nie wiem czy wobec tego nie podpadam pod rubrykę „smutna słuszność życzliwych", wiem natomiast na pewno, że oni nie podpadają pod „smutniejszą słuszność nieprzyjaznych".

Czy w ogóle stosunek do jednego filmu współczesnego może być punktem wyjścia do jakiejkolwiek charakterystyki, a tym bardziej czy może nim być stosunek do całej współczesnej literatury. Znam ludzi bardzo przyzwoitych (że pozwolę sobie na taki skrót tej trochę mętnej filozofii), którym nie podoba się powieść „Obywatele". Twierdzą, że ta książka ich nuży. I znam ludzi nastawionych raczej nieprzychylnie do tak zwanej „rzeczywistości", którzy o „Obywatelach" mówią z zachwytem. Czy stąd można wysnuć jakieś zasadnicze wnioski na temat tej książki, albo uchwaj Boże, jej autora?

Poza tym, czy nie zdarza się temu samemu krytykowi ocenić w roku 1947 tej samej książki zupełnie inaczej niż w roku 1945 i za każdym razem szczerze? Przecież krytyk to także tylko człowiek ulegający przemianom i niech mu wolno będzie je ujawniać bez strachu o to, gdzie go zaszeregują i o jakie posądzą pozycje.

Jeśli jednak piszę wyraźnie w związku z artykułem Macha, to między innymi czynię to dlatego, że nie rozumiem dlaczego Machowi ten właśnie anonimowy adresat wydaje się tak groźny, skoro wielu „słusznie życzliwych" nie potrafi go nawet dostrzec. Jakie bodźce spowodowały ten artykuł wynikający przecież chyba z troski o dobro i dalszy rozwój literatury realizmu socjalistycznego.

Chciałabym wiedzieć co się właściwie stało. Gdzie w literaturze współczesnej, czy też w innych dziedzinach sztuki można obserwować skutki wulgarnego rozumienia tej prawdy, o której Mach tak pięknie pisze, że „kiełkuje, rośnie, może już niekiedy i dojrzewa". Bo po przeczytaniu tego artykułu mam takie uczucia, jak gdyby sam Mach na skutek obaw przed trochę urojonym niebezpieczeństwem przyczyniał się (oczywiście nieświadomie) do niszczenia kiełków. Michałkow napisał wierszyk o tym, że jak się do kiełkującego ziarna ciągle zagląda, to nie może ono wyrosnąć. A przecież Mach na pewno chce żeby rosło. Więc czemu przewraca, rusza i topi w mętnej wodzie wiele świeżej zieleni, która po latach dość niewdzięcznej gleby zdołała zakwitnąć?

Jest taka piosenka amerykańska o jednym refrenie i tekście zarazem „Gdzie jest ten tygrys?" Wysiłki orkiestry, tańczących par i asystującej publiczności, polegają przy tej piosence na poszukiwaniu tygrysa. Wszyscy robią bardzo zabawne ruchy i patrząc na dyrygenta szukają nieistniejącego tygrysa.

Niewątpliwie są i tacy, którzy w czasie odwilży widzą tylko mętne piany. Niewątpliwie będą i takie przejawy, że chwilami źle pojęta „odwilż" zamieni się w zwykłe przedwojenne bagno. Ale na jakich przykładach Mach dojrzał jak mętna piana zakrywa czysty nurt? Gdzie ci groźni „wataźkowie, lizydżojsy, wydrwimordki"? Ile stolików są oni w stanie zapełnić w Kameralnej czy innej kawiarni, że wzbudzili tak wielką pasję? Gdzie jest ten tygrys?

Co takiego zdążyli uczynić w czasie „nowego kursu" (ja też nie lubię „zawołań", ale trzeba to jakoś nazwać, jeśli się pragnie jasno wyrazić swoją myśl.)

Jak dotąd bowiem, o ile mi wiadomo, nie wyszła ani jedna książka „hermetycznie psychologiczna", świadcząca o zwulgaryzowaniu i złym rozumieniu mądrych przewiewów „świeżego wiatru". Wiem natomiast, że wydawnictwa ciągle tak samo jak na etapach „bezwietrznych" nie mają odwagi wydać zachodnioeuropejskich pisarzy, poza pisarzami zajmującymi wyraźne stanowisko polityczne.

Nie widziałam jak dotąd ani jednej wystawy świadczącej o tym, że plastycy rzucili się na tematykę „estetycznej epilepsji", bo chyba fakt, że pojawiło się trochę więcej pejzaży nikogo nie zaniepokoił.

W Filharmonii nie zabrzmiała jeszcze żadna fałszywa nuta płynąca z „nowej fali", brzmiał natomiast pięknie Szopen i Festiwal Muzyki Polskiej zgodny z wszelkimi dotychczasowymi zasadami.

W teatrach tak samo jak w poprzednich latach można obejrzeć „Lalkę" i „Pensję Pani Latter", a zapowiedź „Wesela" i „Dziadów" chyba również nikogo nie przeraziła.

Widziałam kilkanaście przedziwnych rysunków w kawiarni pisarzy podpisanych przeważnie „nokturn", które naprawdę zupełnie nie są groźne, bo nie wywierają żadnego absolutnie wrażenia, tak samo zresztą jak żadnego wrażenia nie mogą wywrzeć źle namalowane portrety przodowników pracy. W tych rysunkach wcale nie obchodzi mnie forma, sposób ujęcia, technika, ale brak jakiejkolwiek treści. Bo można przecież użyć takiej formy jak meksykański malarz Dawid Alfaro Siaeiros i namalować czło-

Rys. Barbara Kusak

EDWARD HOŁDA

KATARYNKA

Człowiek bywa jak świat, jak wszechświat,
jak powietrze, jak ptak, jak czereśnia.

Wznosi się, rozprzestrzenia, ogarnia,
idzie przed nim myśli jego armia.

Człowiek bywa surowszy od głazu,
człowiek bywa jak cisza, jak lazur.

Kuje w skale, kłopocze się, śpiewa,
kocha książki, zwierzęta i drzewa,

liczy, marzy, tablice układa,
rozwiązuje miliardy zadań,

robi mnóstwo rzeczy najzwyklejszych,
szarych, prostych, najfantastyczniejszych.

A ty jesteś katarynka, katarynka,
pudełeczko, taka sztuczna skrzynka,

nie masz oczu, mowy, ni pamięci,
jeden motyw wciąż się w tobie kręci.

obce ci są upadki i wzloty,
kręci się wciąż w tobie jeden motyw,

ni w teatrze się zadumasz, ni na grobie,
jeden motyw wciąż się kręci w tobie,

ni na rozpacz jesteś czuły, ni na biedę,
motyw w tobie wciąż się kręci jeden,

zdarte echo cudzej, pustej kantyleny,
nudne aż do bólu zębów, do migreny,

bo ty jesteś katarynka, katarynka,
pośród żywych taka martwa skrzynka.

LEOPOLD STAFF

KSIĘŻYC

Pewien profesor do mnie przyszedł,
Uczony nieskończenie.
Rzekł, że ogromne dzieło pisze,
W którym wyszydza księżyc i natchnienie.

— Tu wykładam — powiada — wszystko,
Rozwiązany jest każdy problemat.
Zamieszaj w tyglu mym kopystką:
Zagadki żadnej już nie ma.

— Ładna jest — mówię — wszechwiedza,
Ale ładna jest i tajemnica.
Jest także neutralna miedza,
Ale lubię wzdychać do księżyca.

Znamy tylko jedno z jego lic.
Co jest po drugiej jego stronie?
— Tego nie wiem, drogi Akteonie.
— Kto nie wie wszystkiego, ten nie wie nic.

KOLEŻANCE Z PIĄTEJ KLASY

Uśmiech ludzki jest jak mgiełka dmuchawca,
wiatr go niesie i rzuca w zagony.

A gdy wiatr ten ze swych włóczęg powraca,
zbiera plon już bujnie pomnożony.

Pomnożony przez oczy, przez usta,
przez spotkania, przez filmy, przez księgi.

Przez kokardki, przez kwiaty na chustkach
podniesiony do wielkiej potęgi.

On to czyści niebo, strzępi chmurki,
Wielkim Wozem srebrzyć księżyc jeździ.

Z halnym się wdrapuje na szczyt górski,
z dziećmi ślizga się po gołoledzi.

Rozwieziony przez konie, okręty,
przekazany wielu miastom, wielu krajom...

Nad Hanoi, nad Rostowem, nad Coventry
gwiazdy się od niego zapalają.

ROMAN BRATNY

TRYBUNA PISARZA

List do tajniaka krytycznego

Na marginesie wiersza „Treny reportera" przy słowach: „już nie szaleję przecież" anonimowy krytyk wydawniczy napisał „czy aby"? Wyraził tym wątpliwość z pozoru uzasadnioną, bo przecież z punktu widzenia rozbioru logicznego nie świadczy o zdrowych zmysłach autora dialog toczony z trumiennym robakiem, albo zdanie w rodzaju:

„Boże! Proszę Cię, spraw to —
i bądź!
i niech mi w niebie ziemia tylko
będzie
i ona i jej głos
nawet gdy mówi: „już odejdę".

Czy aby nie szaleje poeta, który w jeszcze innym miejscu pisze:

„Według planu trzydziestoletniego
wszystkie więzienia będą
rozebrane
a z cegieł i drutu kolczastego
zrobimy nowe domy i żelazka
do prasowania"...

Gdzież taka rzecz się dzieje? Dzieje się w poezji — w wypowiadanym na głos marzeniu, w tym co najbliższe człowiekowi, bo słabemu daje siły a mężnemu łzy.

Czemu ja, autor wierszy atakowanych w dziesięcioleciu tak często, jawnie, i głośno, zatrzymuję uwagę na formule „czy aby". Czynię to dlatego, iż ma ona być zwięzłym i ostatecznym, dokonanym tym razem incognito wyrokiem w sprawie, która zabrała dużą część mojej młodości. Wiem, że pisanie o sobie trąci megalomanią (a cóż mam za tradycje! — toć sam napisałem o sobie w podpisanym przez siebie artykule wielki wywód, zaczynający się od słów: „Bratny — ten inaczej"). Wiem jednak również, że w pewnej sytuacji niepisanie byłoby postawą: „przepraszam, że żyję" — a więc piszę. Sądzę, że „Nowa Kultura" może posłużyć za skrzynkę pocztową dla listu adresowanego do anonimowego krytyka, którego notkę „czy aby", otrzymałem jako jedyne krytyczne pokwitowanie na zwróconym mi przez wydawnictwo tomie wybranych wierszy, jaki złożyłem w zeszłym roku, pomny, iż istnieje „reguła" wydawania takich zbiorków wszystkim poetom, którzy mają w dorobku 10-lecia co najmniej 5 tomików. Mając ich wydanych sześć... wydać „Wyboru" nie mogę.

Kiedy — nie pisząc wierszy od dwóch lat bez mała — postanowiłem zrobić poetycki rachunek sumienia i wybór taki przygotować, nie robiłem tego z nadmiaru wolnego czasu, czy chęci pokazania jeszcze jednej książki (wydaję w tym roku powieść, tom opowiadań, kończę tom szkiców literackich, więc wystarczy) a dlatego, że stało się to dla mnie — z szeregu wewnętrznych racji — ważne. Miły jest stan, gdy krytycy poetyccy w gatunku kolegi „Czyaby" nie strzelają do człowieka notami i recenzjami — miły, choćby nie strzelali na tej zasadzie, na jakiej mieszkańcy Borneo nie polują na orangutangi — twierdząc, iż są to byli ludzie, którzy uciekli do lasu i przestali mówić, by nie płacić podatków. Przestałem jako poeta mówić nie dlatego, bym się lękał jakiegokolwiek podatku. Płaciłem w dobrej wierze każdy — nawet każdy domiar. Muszę się przyznać, że sam byłem niejako „ustawodawczym inicjatorem" niejednego podatku, jaki nakłada na poezję współczesność.

Nie wstydzę się tego. Wymaganiem epoki jest, by sztuka wyrażająca świat — zmieniała go równocześnie. I jest to wymaganie słuszne. Z tą poprawką, jaką nam przynosi doświadczenie lat, że najczynniej go zmienia wówczas, gdy najmądrzej go wyraża. Wyraża go zaś w niejednym przypadku tym mądrzej, im więcej jest w niej owego „szaleństwa", z jakim walczyć chce „trzeźwy krytyk".

W tym okresie życia, gdy czynnie „uprawiałem" poezję, walczyłem jak umiałem o połączenie owego „wyrażać" z owym „zmieniać".

Był czas, gdy „wyrażając" pewne treści najpełniej dla siebie i grupki ludzi równie w pewien typ poezji zaangażowanych, odczuwałem zwątpienie na myśl, że „zmieniam" tak mało poezję ograniczoną do niewielkiej warstewki odbiorców. Ten konflikt był motorem bolesnej samokrytyki, za jaką uważam wydrukowany pięć lat temu w „Nowej Kulturze" artykuł „Jaka Poezja". Pisałem tam: „ja sam, walczący o polityczność poezji od pierwszych swoich kroków na tym polu, byłem faktycznie, w sensie funkcji społecznej, „apolityczny" — to jest żaden, bo tylko nieistnienie nie podlega polityce. Byłem żaden, nie było mnie, z tej prostej przyczyny, że zwężałem krąg społecznego oddziaływania poezji przez komplikowanie jej środków wyrazu. A przecież o tym, czym pisarz jest politycznie, decyduje działanie jego dzieła — sens ideologiczny poezji sprawdza przecież jej oddziaływanie. Forma artystyczna na równi z tematem decyduje, czy poeta deklarujący się politycznie w swym utworze jest tylko we własnym przekonaniu poetą politycznym i postępowym, czy też jest nim dla klasy, w której imieniu występuje. Sprawdziłem na sobie, że przez formalistyczne przerosty mojej poezji terenem jej oddziaływania mogło być tylko mieszczaństwo, przeciw któremu występowałem. Jeśli tylko w takich klasowych ramach znajduje pisarz zrozumienie, to czy nie wypada mu uznać, że pisarstwo jego jest pseudo-partyjne, niby-komunistyczne?"

Ten konflikt leżał u podstaw ówczesnych moich przemyśleń i decyzji. Bo przecież do takiej rewizji sensu własnej pracy nie prowadziły ani koleje, ani podsumowanie dyskusji o poezji jaka przewaliła się o rok wcześniej. Wszak u jej początków wysuwano — taką właśnie cherlawą — moją poezję jako jeden ze wzorów pełnego zaangażowania politycznego (artykuły Woroszylskiego, Bocheńskiego w „Odrodzeniu") wszak w parę tygodni potem w jej podsumowaniu zarzucono mi, że moja postawa i przykład „opóźnia rozwój innych poetów". (Artykuł Ważyka, w „Nowej Kulturze").

A więc nie spięcie sprzecznych poglądów, ani załamanie pod wpływem oficjalnego charakteru tych,

(Dokończenie na str. 7)

wieka o głowie z kamienia, o rękach zrośniętych, podpisać „Nasze Czasy", a każdy kto spojrzy na ten obraz nie zapomni nigdy wstrząsu i głębi artystycznego przeżycia.

„Na nowej fali" widziałam również jedno durne ogłoszenie na temat jazzu i słyszałam jedną durną zapowiedź numeru estradowego, która mogła się w nieco innej formie zdarzyć i w latach poprzednich.

Erenburg na konferencji prasowej z dziennikarzami zachodnimi na zarzut pewnego dziennikarza tyczący niefortunnej wzmianki w jakimś piśmie radzieckim odpowiedział: Ja tutaj panom mówiłem o tym, że myśmy zlikwidowali kapitalizm, ale czy ja mówiłem, żeśmy zlikwidowali idiotów.

Idioci będą również asystować w każdej nowej sytuacji i nie sądzę, żeby Mach ich właśnie miał na myśli. Bo gdyby ktoś nie orientujący się zupełnie w naszych stosunkach, ktoś z zagranicy przeczytał artykuł Macha musiałby wywnioskować, że jesteśmy zalani jakąś chorobliwą grafomanią.

A zresztą jeśli gdzieś daleko na horyzoncie pojawia się trochę mętnej piany na czystym nurcie, to przecież ciągle jeszcze o wiele groźniejszy jest fakt, że ten nurt wcale nie jest czysty. Brudy jego stanowią właśnie „urzędasy, tchórze, terroryści, dzierżygęby" i nie można ich wieloletniej szkodliwej działalności utożsamiać z kilkoma pyskaczami, którzy czasem też trafiają na Krakowskie Przedmieście.

Mach pisze, że swoje zmartwienia wydrukował na skutek rady kolegów redakcyjnych. Dlaczegóż to w poprzednich latach koledzy redakcyjni nie radzili Machowi pisać równie ostro przeciw wszystkim tym błędom, które zostały ujawnione ostatnio z całą szczerością i odwagą. Czyżby tamte zmartwienia były mniejsze niż obecne? Czy nie lepiej pisać o realnych groźbach, a nie o tygrysie, który jeszcze nie zaczął być małym kotkiem?

Na marginesie „Odwilży" Mach wspomina o niebezpiecznych sojusznikach przyzwoitych ludzi. Sojusznikami Macha po jego artykule będzie wiele ludzi przyzwoitych. To będą zapewne ci, którzy przejmą się uczciwie fragmentami analizującymi mądrze wiele przejawów naszej twórczości, a nie zastanawiają się bliżej nad odczytaniem obiektów napaści. Ale będą również i inni. Widzę jak różne urzędasy wymachują radośnie „Machem" krzycząc: „No widzicie... nam odebrano autorytet a różnych twórców rozpuszczono. Nawet Mach, który jest przecież za swobodną twórczością wyjaśnia co z tego wszystkiego wynikło. Ich trzeba za mordę".

Ci niepotrzebni sojusznicy, których charakterystyczną cechą jest interpretacja wszystkiego „po swojemu" po to aby dalej działać po staremu, stanowią dalej realny temat do krytyki. Ci, którzy przyczepiali najuczciwszym ludziom nie przemyślane etykiety, którzy zauważali w normalnym przyzwoitym człowieku 1/4 oportunisty, 1/4 prawicowego odchylenia, 2/4 demoliberała i inne nieszczęścia. Ci, którzy zahamowali powstanie wielu cennych pozycji ze źle pojętej nadgorliwości, z tchórzostwa albo na skutek ignorancji. Ci, którzy jak Iwan Iwanowicz z „Łaźni" Majakowskiego wydawali zarządzenia kulturalne mając do dyspozycji dwa slogany, strasząc nimi ludzi i próbując im wmówić, że realizują przy pomocy tych sloganów ideologię marksistowską.

Gdyby się zaczęło pojawiać więcej artykułów w tym tonie, choćby zrodzonych z najlepszej intencji, z najbardziej szczerej troski — wtedy wszystkie błędy wydobyte na światło dzienne przemyślane, przecierpiane, przetrawione mądrze na tysiące różnych sposobów powróciłyby w formie nie do strawienia. Wydaje mi się, że przysługę narodowi, partii i literaturze realizmu socjalistycznego robi ten, kto ostro, jasno i szczerze sygnalizuje tamte błędy — wciąż spotykane, namacalne, bolesne, a nie odwraca od nich uwagi alarmując o zaledwie dostrzegalnych możliwościach nowych przegięć.

Satyrykom wydaje się bardzo często, że jeśli napisali na bolący ich temat felieton, to po tym felietonie zagadnienie w nim poruszone zostało załatwione. Nieprawda. Dygnitarz, o którego kacykostwie się pisze, ogląda się wyżej czy to przypadkiem nie o jego szefie mowa. Biurokrata zawsze znajdzie w pobliżu drugiego, na którego może z łatwością przerzucić aluzję zawartą w felietonie. Wykpiona idiotka zawsze jest przekonana, że mowa o koleżance i cieszy się, że na tamtą „taki byczy kawałek napisali". A wielu po prostu nie przeczytało felietonu pisanego z myślą o nich. Stąd między innymi wynika siła adresowanej krytyki wskazującej palcem, przygważdżającej faktami.

Ale nie tylko ludziom piszącym, satyrykom, dziennikarzom wydaje się często, że jeśli pewne rzeczy zostały ujawnione, to w ten sposób zostały już zlikwidowane. Chyba zdajemy sobie sprawę, że ujawnione błędy wielu lat nie dadzą się zlikwidować w ciągu kilku miesięcy, i trzeba potem co najmniej tyluż lat, ażeby je odrobić.

Macha ogarnia przerażenie na myśl o tym co zrobią przedstawiciele „mętnej piany", a mnie ogarnia przerażenie na myśl o tym, z ilu i jak bardzo różnych pozycji można tłumić zdrową krytykę.

Jeśli w jakiejkolwiek instytucji po raz pierwszy po 10 latach wstaje na zebraniu sprzątaczka i opowiada o tym, że ją personalny źle traktował, od razu zaczyna się zabawa: „Po co o tym mówiłaś, on cię wyrzuci z pracy", albo „czy ty wiesz, że to jest szwagier Pipciaka?" Albo: „Nie trzeba było o tym gadać, czy od tego coś się zmieni?" albo: „szkoda tego personalnego, taki miły człowiek, przecież nie on jest winien, tylko Personalny z Instytucji Nadrzędnej". Albo (najbardziej popularne): „nie wychylaj się, bo jutro znów się zmieni nastawienie, a ty będziesz ofiarą".

W Związku pisarzy może wstanie ktoś i powie dlaczego pisał mało, względnie nie to, co wynikało z jego najistotniejszych potrzeb wewnętrznych. Trzeba żeby powiedział. Bo speszony niezrozumiałym alarmem przestraszy się, że może to on właśnie podpada pod któryś z epitetów Macha. I zanim zdąży się odezwać zamilknie na dobre, tym razem w sposób bardziej zacięty.

Czy istnieje obawa przesadnej krytyki? Oczywiście. Czy należy walczyć z objawami takiej przesady? Na pewno. Ale pod jednym warunkiem — konkretnie. Trzeba wykazywać konkretne przykłady źle pojętych spraw, a nie występować przeciwko anonimom. Anonimy teraz nie w modzie. Wiele rzeczy zostało nazwanych po imieniu i myślę, że bardzo dobrze się stało. A występowanie przeciwko anonimom jest tym groźniejsze im inteligentniejsze. Bo im inteligentniejsze tym większy wprowadza zamęt. A na co i komu potrzebny jest zamęt?

Andrzej Weber polemizując z artykułem Jadwigi Siekierskiej (O sztuce winni decydować ludzie sztuki) pisze w Trybunie Ludu: „Być może znajdą się tacy, którzy na te uwagi zareagują szeptem": „Oho, już odkręcają". Na złą wolę nie ma rady. Ludzie dobrej woli przekonają się, że partia nie będzie „odkręcać" dyskusji zmierzającej do zapewnienia naszej kulturze jak najlepszych warunków rozwoju, że będzie, przeciwnie, tę dyskusję posuwać naprzód".

Nie chciałabym być posądzana o te szepty i pragnę podkreślić, że ani przez chwilę nie miałam wątpliwości co do tego, że partia nie będzie tej dyskusji odkręcać. Ale w imię czego Mach odkręca — zupełnie nie mogę pojąć.

Krystyna Żywulska

* * *

OD REDAKCJI. Po co — zapyta ktoś — publikować tak drastyczne świadectwo wyraźnej, aż rozbrajającej dezorientacji? Żeby jeszcze wzmóc dezorientację, i tak już niemałą w pewnych kołach inteligenckich?

Głośny już artykuł Macha rozbudził namiętności, wywołał polemikę, która się dopiero zaczyna. Niewątpliwie Mach w stosownym czasie odpowie swoim oponentom i nie chcemy go w tym wyręczać. Toteż nie poruszamy dziś samego meritum sprawy, tylko wyjaśniamy dlaczego uznaliśmy za celowe wydrukowanie artykułu Żywulskiej. Artykuł ten wyraża przecież obawy i wątpliwości środowisk nie dość uodpornionych na oddziaływanie poglądów i tendencji co najmniej niezupełnie zgodnych z celami, jakie przyświecają nam, a więc także towarzyszce Żywulskiej.

O cóż idzie? Sądzimy, że w ramach odwilży (pozostańmy już przy tym zabawnym terminie) warto wydobyć na światło dzienne — i obejrzeć sobie pod światło — także te tendencyjki, koncepcyjki i nurciki, które podskórnie, w mroku, drążą i osłabiają, rozhartowują ideowo jednostki czy grupki w naszym obozie.

Na przykład. Żywulska boi się przede wszystkim, strasznie się boi, czy aby artykuł Macha nie zwiastuje powrotu, nie woła o powrót tamtych, tak niedawnych i świeżych w naszej pamięci czasów, kiedy to (nie bez wiadomych skutków) próbowali niektórzy ustawić literaturę jako — po prostu, bezpośrednio i najdosłowniej — agendę, jedną z agend resortu agitacji i propagandy. Skłamałby, ktoby chciał twierdzić, że znikli już z naszego życia publicznego ludzie, tak właśnie traktujący literaturę. Skłamałby, kto by chciał twierdzić, że w tych ludziach artykuł Macha nie mógł ożywić głupich nadziei.

Czy dlatego nie wolno, nie należy przestrzec przed innym realnym niebezpieczeństwem? Czy Żywulska nie zauważyła, w jakich kołach artykuł Macha wywołał święte oburzenie i wielki gniew? Żywulska pyta, gdzie jest tygrys. To prawda: tygrysa nie ma, dawno został odtygrysiony, bo mu się wyrwało pazury i wytłukło zęby. Nie ma więc tygrysa — ale jest stary wyleniały kocur: filisterski pseudoliberalizm, obłudnie teraz miauczący o znowu — przez Macha — zagrożonej wolności. Czy niebezpieczny? Chyba tak, skoro może dezorientować i znajduje posłuch np. u Żywulskiej, która mu użyczyła swego pióra.

Bo liberalizujący mieszczuch nie jest tylko pocieszną nieszkodliwą figurą. Liberalizujący mieszczuch ma własną, zupełnie określoną koncepcję odwilży i całkiem jednoznacznie pojmuje wolność: żeby w „ramach odwilży" wolno było głosić tylko jego poglądy i walczyć tylko o tę literaturę, która jemu — podstarzałemu filistrowi i młodocianemu snobowi — przypada do gustu. Kto, jak Mach, ośmieli się wystąpić z inną platformą ideowo-artystyczną, kto się odważy wychylić z innym programem literackim — zagraża wolności, chce zamrozić odwilż! Odwilż w niebezpieczeństwie! — zawodzi snoboliberalny chór, a Żywulska przerażona pisze rozdzierający serce artykuł i zanosi go do „Nowej Kultury". A „Nowa Kultura" natychmiast go publikuje. Nie jesteśmy przecież liberałami. Jako marksiści głęboko przeświadczeni o własnej racji — drukujemy nieraz wypowiedzi, z którymi się nie zgadzamy lub niezupełnie się zgadzamy. Ale prosimy pokornie: pozwólcie nam, gorliwi obrońcy wolności, zamieszczać również wypowiedzi, tak czy inaczej, mniej lub bardziej zbliżone czy zbliżające się do naszego stanowiska!

ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI

„Zawieja“ Bogusława Koguta

Kiedy przed dwoma laty wyszedł pierwszy tom prozy Koguta, krytyka zachowała się jak urzędnik prowadzący meldunki: zarejestrowała go na kartce, nie większej od formularza meldunkowego. Z tonu, w jakim załatwiano interesanta wynikało niezbicie, że zostaje on zameldowany na pobyt czasowy. „Zbuntowanych“ zakwaterowano w oficynie i już potem nikt do nich nie zaglądał. Książka przeszła, jak się to mówi, bez echa. A szkoda — bo nie stać nas jeszcze na taki brak uwagi dla dobrych książek. Nasza „dniówka obrachunkowa“ jest na razie bardzo niewielka i dlatego nie możemy spokojnie patrzeć, gdy recenzencka buchalteria szacuje nasz „przychód“ zbyt nisko. W tym wypadku, o którym mówię, mieliśmy do czynienia z książką chyba nie mniej ciekawą, niż „Bieg do Fragala“, czy „Rzeka Czerwona“; podczas jednak, gdy tamte pozycje znalazły swoich heroldów, tę pozostawiono „propagandzie szeptanej“. Tymczasem „Zbuntowani“ byli powieścią ambitną i nawskroś oryginalną, powieścią o własnej twarzy i to nie pozbawionej wdzięku. Nic, albo prawie nic nie wyrastało tam z literackich konwencji, wszystko było świeże, swoje, wszystko po raz pierwszy. Płomień ludowego gniewu, szalejący w tej książce, oślepiał nas i pozwalał nam nie dostrzegać niedostatków pisarskiego warsztatu. Ten płomień przypominał literaturę radziecką lat trzydziestych; rzecz nie bagatelna w okresie, gdy namiętni ongiś realiści częstują nas przemądrzałą moralistyką kolorowych „karteek“ i symbolicznych opowiadańszkatułek, które ponoć wytrychem umie otwierać jeden tylko Kijowski. Och, pewnie, że Kogut nie umiał pisać tak jak tamci — ale za to sam czerniał przed nami z głodu, sam spalał się na kartkach swojej książki w ogniu ropczyckiego powstania; był niepodrabianie dziki, chłopski, klasowy. Książka urywała się raptownie, w pół oddechu i wszyscy byli pewni, że przyjdzie jeszcze jej ciąg dalszy.

I otóż pozornie przyszedł. „Zawieja“ to drugie ogniwo cyklu powieściowego. Ale ogniwo rzekome. Nie mówię tego z przekąsem — nie, stwierdzam po prostu, że mamy do czynienia z inną książką, która nie pozostaje w prawie żadnym związku przyczynowo-skutkowym ze „Zbuntowanymi“ i która tylko dzięki uporowi autora znalazła się w ramach na poły fikcyjnej trylogii. Istnieje bowiem swoista „logika ciągów dalszych“. Może ona polegać na rozwoju charakterów, lub spraw, może ona być tylko „logiką stylków“, jak w wielu ogniwach „Komedii Ludzkiej“, ale nie można jej budować na w y p i e r a n i u s i ę tego, co zostało napisane wcześniej. Tymczasem tych dwu książek nie można złączyć inaczej, jak tylko przez zaprzeczenie: Kogut zdaje sobie z tego sprawę i generalne skutki pierwszego tomu zajadle „odkręca“ w drugim.

Bo spójrzmy na to z bliska: bohaterem „Zawiei“ jest bechowski porucznik Kostek, szamoczący się między „Londynem“, a „komuną“, postać ciekawa i sympatyczna, do której zresztą jeszcze wrócę. Otóż wszystkie — mówiąc językiem artyleryjskim — „koordynanty“, jakie podano nam w pierwszym tomie, wszystkie cechy Kostkowego charakteru, wpływ ojca-powstańca i jego towarzyszy, buntownicze otoczenie wsi, wstrząsające wypadki, jakich Kostek był świadkiem za młodu — cały zatem zespół konkretnych okoliczności, kształtujących sylwetkę Kostka, zaprzeczają tezie, jakoby chłopak ów w roku czterdziestym trzecim mógł być politycznie „białą kartą“ i aby pierwszy lepszy przypadkowy znajomek mógł tę kartę pokryć kułackimi hasłami. Autor sam czuł to najlepiej, toteż przedsięwziął cały szereg środków, aby Kostka w stanie niepokalanym doprowadzić do upatrzonego punktu. Trzymał więc starego Bogusza aż do samej wojny w więzieniu; rodzinie polecił przenieść się na te lata z rewolucyjnej Łuczany gdzieś w Poznańskie; później, już w czasie wojny robił co mógł, aby Kostka izolować od ojca, każąc mu się ukrywać w odległych okolicach. I dopiął swego — w drugiej połowie wojny Kostek wraca do wsi jako żołnierz Mikołajczyka, wraca, aby rozpocząć od nowa proces ideowej edukacji. Są zresztą w książce i inne jeszcze dowody na to, że kontynuacja „Zbuntowanych“ była po części prowadzona na siłę. Najciekawszych ludzi z pierwszego tomu, teraz mało przydatnych, Kogut bądź gdzieś pozsyłał, jak Skupę, bądź podsuwał od akcji, jak Bochenka; przy innych krząta się po macoszemu i jakby z obowiązku, malując ich wodnistymi farbami i bez przekonania — vide Kazia, Matusikowie, Łopas, czy Jaś Dukat, (ten zresztą ma życie najkrótsze, gdyż ginie gdzieś w połowie tomu) Wszyscy oni już nie tacy, jak w „Zbuntowanych“, z wyjątkiem jednej może Kazi, która i tu i tam wypada jednakowo, czyli niedobrze. W najlepszym razie otrzymujemy bezbłędne kopie bohaterów pierwszego tomu, jak to się dzieje z Antkiem Świrukim, ale też i nic więcej. I nie należy się temu dziwić — mamy po prostu do czynienia z odrębną powieścią, której sprawy rozgrywają się między nowymi ludźmi w nowej wsi, która tylko z nazwy przypomina dawną Łuczanę. Nie zatrzymywałbym się nad tym tak długo, gdyby nie obawa, że i w trzeciej powieści autorska konsekwencja może się okazać silniejsza od wewnętrznych praw utworu.

A teraz parę zagadnień generalnych. Kogut przypomina mi nieco Tadeusza Janczara — obydwaj najsilniej błyskają talentem tam, gdzie chodzi o ludzką rozterkę. W „Zbuntowanych“ mieliśmy Bogusza, wspaniałego średniaka, który po omacku, spazmatycznie rozpaczliwie szukał drogi do partii. To była postać wielkiej klasy; żadna z naszych współczesnych „chłopskich“ powieści nie może się poszczycić podobnym bohaterem. „Zawieja“ ma plan bardziej epicki, egzemplifikacja zjawisk politycznych jest w niej szersza, bardziej wszechstronna, „wachlarzowa“, lecz i tu sprawa chłopskiej rozterki wybija się na czoło. Prawda — Kostek, to nie stary Bogusz. Tamten był bardziej złożony, tragiczniejszy, a choćby tylko — starszy. Ten jest sympatyczny, ale płytszy; czegóż zresztą wymagać od młodzika? U tamtego na kapitał nieufności i zacofania składały się pańszczyźniane, biedniackie stulecia, ten jest „londyński“ z przypadku. Kogut miał teraz słabsze karty, niż w poprzedniej partii, a licytował tak samo wysoko i — mimo wszystko — „wziął swoje“. Bez „nadróbek“, jak w „Zbuntowanych“, lecz jednak wziął. Dramat Kostka przejmuje, porusza; jest osobisty, a przecież jakże historyczny! Widać poprzez niego potężny szmat chłopskiej „drogi przez mękę“ do rewolucji. Trzeba przy tym powiedzieć, że Kogut nie ułatwił sobie zadania: obaj ludzie, walczący o duszę Kostka, a więc Kosiarz i Bogusz — są równorzędnymi partnerami, gra toczy się fair, bez przywilejów, drażniących czytelnika i bez dawania for komunistom. Kosiarz został wyposażony sprawiedliwie: autor nie poskąpił mu zalet, nie przyczernił go, nie pozbawił ujmującego wdzięku. Jeżeli Kosiarz przegrywa, to jedynie dlatego, że historyczna racja była po przeciwnej stronie. Zresztą nawet przegrywając, budzi współczucie; rzecz nie błaha, przeprowadzona przez Koguta nad wyraz subtelnie. (Dobra to lekcja dla niektórych naszych teoretyków, którzy radziby podział klasowy społeczeństwa poprzeć natychmiastowym podziałem charakterów; sprawa, jak wiemy, w rzeczywistości nieco bardziej skomplikowana).

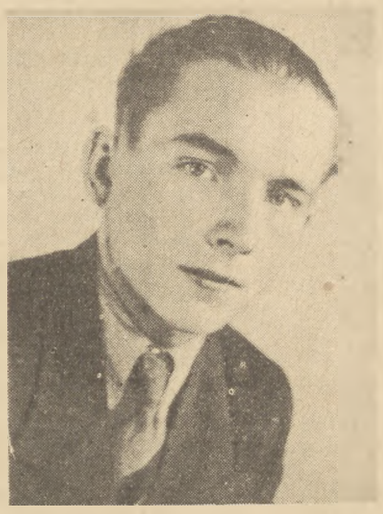

A teraz Bogusz. Jeśli pominąłem go przy omawianiu rekwizytów pierwszego tomu, to z pewnością nie zrobiłem tego bez powodu. O Boguszu nie odważyłbym się powiedzieć, że to rekwizyt, że to płód rzeszowskiego uporu pisarza; Bogusz nie jest bladą roślinką, przeflancowaną z inspektów poprzedniej powieści — to żywy, serdeczny, bliski nam bohater-komunista. Tyle tylko, że nie wiele mający wspólnego ze „zbuntowanym“ Boguszem, komendantem chłopskiego powstania. Można by, oczywiście, na złość Maciągowi, traktować Bogusza jako przykład dialektycznej przemiany ludzkiego charakteru, ale wówczas trzeba by powiedzieć, że się ten Bogusz zmienił nie do poznania. Schorowany, powściągliwy, opanowany i rozumny partyjniak z „Zawiei“, postać sama przez się bardzo interesująca — nie „nanosi“ mi się jednak nawet w przybliżeniu na gwałtowną, szorstką sylwetkę tamtego. Kogut powie wprawdzie, że więzienie, że dziesięć lat, że większa dojrzałość ideowa... Pewno, a jednak ja odczuwam tego drugiego Bogusza jako inną i całkiem nową osobę. W niczym mi to zresztą nie przeszkadza, bo osoba daje się lubić. Putrament, na długo przed tym, zanim całą rzecz opisał w „Rozstajach“, dawał nam do rozwiązania pewien „test na partyjność“. Chodziło tam o ustalenie warunku sine qua non dla komunisty. Autor testu obstawał przy twierdzeniu, że nie można być komunistą, nie kochając ludzi. Bogusz z „Zawiei“ odpowiedziałby na ów test podobnie; cała jego działalność jest w książce wyrazem tej wielkiej, pięknej, komunistycznej miłości.

Wspomniałem już o epickim rozmachu „Zawiei“. I tak jest rzeczywiście: poza centralną trójką, to jest Boguszem, Kostkiem i Kosiarzem, widzimy tam cały tłum różnorodnych postaci, czasami zresztą znakomitych, jak ów sołtys Gradecki, łuczański kułak, w naszych oczach wyrastający na małego obszarnika, czy Palik, wiejski „dziad“, zaprzedany całkowicie i bez reszty bogatym gospodarzom. Ta szerokość malowidła, o której mówiłem, cenna z jednej strony, bo ukazująca mechanizm działania wielkich sił społecznych w czasie okupacji, jest — z drugiej strony — niebezpieczna: Kogut nie wszystkie ogniwa tego łańcucha zna jednakowo dobrze i gdzieniegdzie wspiera się elementami używanymi już w literaturze. Jaskrawym tego przykładem jest „dziedzicówna“, Aurelia, której „pańskość“ mają — nota bene — podkreślać angielskie wstawki w rodzaju: „oh, my God!“ Tak ona, jak i Katarzyna, to fabrykaty z „tworzyw sztucznych“, jaskrawie odbijające od większości „zawiejskich“ sąsiadów. W ogóle książkę — w przeciwieństwie do „Zbuntowanych“ — cechuje większy napór sytuacji i wątków skonwencjonalizowanych przez literaturę, bardziej ogranych, wtórnych.

Osobną bolączką „Zawiei“ jest erotyka. Wychodzi ona blado, bardzo blado. Tę słabość dzieli zresztą Kogut niemal z całym „rówieśnym“ mu pokoleniem literackim. Przyczyna tego jest chyba poważniejsza, niż się na pozór wydaje i nie należy jej szukać wyłącznie w recepturowym schematyzmie; że ktoś kiedyś zakazał, że „zawężono“ i „zacieśniono“. Dlaczego we wspaniałej literaturze radzieckiej lat trzydziestych bodaj że jeden tylko Szołochow (ba, ale jakiż genialny!) dał sobie radę ze wszystkim, a inni, niestety, potykali się na erotyce? Dlaczego Soustin Małyszkina, świetny w scenach „z głuchej prowincji“, kompromituje się w moskiewskim romansie? Dlaczego Żdarkin z „Brusków“, wypada świetnie w epizodach — generalnie biorąc — politycznych, znacznie zaś słabiej w miłostkach? Dlaczego kolejowe partie „Drogi na ocean“ wstrząsają, erotyczne zaś najczęściej irytują lub nudzą? Znam w maszynopisie szereg nowych powieści współczesnych, złożonych przez naszych kolegów do druku; za wielki konflikt polityczny niemal wszyscy zapłacili konfliktami ściślej intymnymi bohaterów. Wszystko jedno, czy to źle, czy dobrze — z tym faktem jednak trzeba się liczyć. Możliwość odbioru rzeczywistości przez pisarza nie jest nieograniczona — trudno mieć oczy jednakowo wrażliwe i czujne na wszystko. Czasy spokojne i leniwe, czasy Flauberta i Maupassanta, dawały się badać bez pośpiechu i drobiazgowo, jak grzeczny pacjent chory na grypę. Nasza epoka jest gwałtowna, pośpieszna i niecierpliwa, każe decydować się i wybierać. Obawa przepuszczenia przez palce tego, co najistotniejsze, dręczy każdego prawdziwego pisarza. Dlatego rzeczy już opisane, rzeczy, kiedyś już badane przez literaturę, ustępują po części miejsca tym, które pojawiły się po raz pierwszy — a te są ogromne i często wyczerpują całą uwagę twórcy. Gdzie zaś słabnie uwaga twórcy, tam natychmiast z niepowstrzymaną gwałtownością wdziera się konwencja. Ale ten sam Kogut, któremu drugi plan niejednokrotnie wymyka się z rąk, mocno i bez wahania ujmuje w ę z ł y ż y c i a i tych nigdy z dłoni nie wypuszcza.

„W literaturze jak w handlu“, pisał kiedyś Adolf Rudnicki, „druga ręka jest tylko drugą ręką“. Siła Koguta polega między innymi na tym, że t a k d u ż o ma z pierwszej ręki. Przy okazji przypominają się pisarze, którzy tak zaciekle bronią się przed „terenem“. Nie udawajmy, że tego nie widzimy — w ostatnich latach sprawa powiązań z terenem została bezszelestnie wymanewrowana ze szpalt naszej prasy literackiej. A przecież tu idzie nie tylko o dobro czytelników, lecz i o dobro pisarzy — nic łatwiejszego, jak pogrzebać szansę p o w i e d z e n i a r z e c z y j e s z c z e n i g d y n i e p o w i e d z i a n y c h. Tam, gdzie Kogut jest świeży, odnosi sukces za sukcesem. I to zarówno w skali największej, chociażby wtedy, gdy pokazuje oddolną, bezwzględną, nieuchronną konieczność powstania Armii Ludowej — jak i wówczas, gdy ot tak, mimochodem, rzuca nam na stół garść drobniutkich, lecz znakomitych obserwacji obyczajowych. Pamiętam choćby taką scenę: chłopi późną jesienią wyprowadzają krowy w las, rwą trawę, otrzepują ze zmarzniętej rosy i — nim nakarmią bydło — g r z e j ą t ę t r a w ę w r ę k a c h. Obserwacje takie, jak ta, to cenne autentyki nie do podrobienia. Aby je zdobyć, trzeba mieć osobistą, własną namacalną więź ze wsią. W tej więzi trzeba również szukać źródeł stylistyki Koguta — prostej, lecz pełnej ludowego wdzięku, przejawiającego się i w specyficznej składni i w ciekawym słownictwie — ot, choćby w takim rozczulającym „krowskim uchu“. Jeśli już zeszło na sprawy najściślej warsztatowe, to trzeba przyznać, że w okresie od „Zbuntowanych“ do „Zawiei“ Kogut się wiele nauczył. Pamiętam, że na przykład w opisach przyrody był dawniej nieprawdopodobnie oschły i skąpy; jako jedyny malarski obraz został mi z pierwszego tomu opis pojenia krów w bajorku: „spod ich kopyt, ugrzęzłych w miękkim dnie, szły kłęby zmąconej wody jak pasma dymów po niebie“. Poza tym — nic, sama tylko „geografia stanów posiadania“; czyjeś chałupy, czyjaś droga, czyjeś tam stawy... Czułem w tym skrępowanie poety, który po raz pierwszy sięga do prozy i — w imię czystości gatunku — brutalnie odżegnywa się od swych doświadczeń poetyckich. Sytuacja jakże podobna do sytuacji Brauna w „Lewantach“! Nie ma chyba suchszych prozaików, niż przybysze z krainy wierszy. W „Zawiei“ nie możemy się już na to uskarżać: obrazowanie tu o całe niebo bogatsze i plastyczniejsze, choć miejscami nie wolne od banału. Dlaczegóż to las ma się tradycyjnie „zanosić ptasim śpiewem“, a Katarzyna ma mieć „wilgotne oczy gazeli“? Pomijając podobne drobiazgi należy powiedzieć, że Kogut w znacznym stopniu pozbył się nieporadności i krząta się wokół swojej prozy iście po gospodarsku, rozwijając ją i pielęgnując starannie. I jeżeli się czegoś obawiam, to przede wszystkim tego, by w miarę dalszego opanowywania warsztatu nie utracił tego kapitału świeżości, który jest jego najcenniejszym bogactwem. Od czasu „Zbuntowanych“ zdążył już uronić nieco ze swych skarbów, nie na tyle jednak, byśmy o „Zawiei“ nie mogli powiedzieć: interesująca pozycja. Dzięki Bogu, możemy; bo — mimo wszystko — rzeczywiście interesująca.

Aleksander Ścibor-Rylski

Wywiad ze Stefanem Żółkiewskim

(Dokończenie ze str. 2)

sarzy, dążących do realizmu i zdarzało się nam czasem trafić kulą w płot. Trzeba jednak podkreślić, że przede wszystkim walczyliśmy sami z sobą, z formalistycznymi i ekspresjonistycznymi nawykami twórczymi samego zespołu. Wystarczy przypomnieć, jak Ważyk w nowych wierszach polemizował ze swymi starymi wierszami, jak Brandys przezwyciężał obciążenia „Drewnianego konia“.

— Czy „Kuźnica“ była pismem jakiejś grupy literackiej?

— Nie! Zmierzaliśmy do tego, by pismo miało jak najszerszy zasięg; wystarczy przejrzeć spisy nazwisk jego współautorów, aby ocenić, w jakim stopniu udało nam się ten zamiar zrealizować. Walczyliśmy też świadomie o młodzież literacką. Większość piszących dziś młodych debiutowała na łamach „Kuźnicy“. Nie zawsze co prawda byli zadowoleni, gdyż stawialiśmy wysokie wymagania poprawności warsztatowej pisarstwa, wiele też debiutanckich utworów musiało odpaść. Myślę, że czytelnicy wydawanych w ciągu ostatnich pięciu lat czasopism — pod tym względem przyznają nam rację. Kryteria doboru poezji i prozy w czasopismach muszą być podniesione. Kto wątpi o tej konieczności, niech sobie przeczyta kolumnę wierszy w „Przeglądzie Kulturalnym“ z 10 marca br. — jeśli nie stracił zupełnie smaku i rozumu, ogarnie go przerażenie.

— A czy nie ma pan czegoś do powiedzenia bezpośrednio pod adresem „Nowej Kultury“?

— Pozytywną stroną „Kuźnicy“ była jej bojowość. Pismo zaczęło tracić swoje znaczenie wówczas, kiedy zaciążyły nad nim fałszywe wpływy prawicowych tendencji w całym naszym ruchu ideologicznym. W rezultacie walki z tymi tendencjami drogi naszej literatury prostowały się, a „Kuźnica“ przestała już i formalnie istnieć, przekształcona wraz z „Odrodzeniem“ w „Nową Kulturę“. W tym nowym okresie czołowym pismem stała się „Nowa Kultura“. Potrafiła ona przezwyciężyć zasadnicze błędy „Kuźnicy“, pięcioletni okres jej istnienia przyczynił się do wytknięcia dalszej drogi rozwoju literaturze polskiej, drogi, która i nadal jest drogą przyszłości.

Właśnie z perspektywy tych pięciu lat widzimy, że nie ma powrotu w arealistyczne zaułki lat międzywojennych. Ostatnio miałem możność obserwować przez krótki czas życie umysłowe w jednej z zachodnio - europejskich stolic, dość typowej — w Wiedniu. Uderzyło mnie, o ile nasze życie umysłowe jest bogatsze, bardziej serio, bardziej obfitujące w istotne spory intelektualne. Duży jest w tym udział i zasługa „Nowej Kultury“.

Oczywiście droga tych ostatnich pięciu lat nie była gładka, czego najlepszym dowodem ostatnie dyskusje w czasopismach. Są to na ogół ciekawe dyskusje. Jako prywatnego czytelnika niektóre sądy mnie przekonują, niektóre rażą. Razi mnie właśnie występujący czasem brak świadomości tego, że przy wszystkich potknięciach dziesięcioletni wysiłek pisarzy i krytyków polskich wytknął przecież zupełnie nową drogę ideowo - artystycznego rozwoju naszej literatury. Rozumiem jednak zniecierpliwienie wielu. Myślę, że pod maską argumentów zawiłych i mądrych płynie ono stąd, iż nie została wygrana a nawet na serio przeprowadzona przez samych pisarzy kampania o podniesienie poziomu ideowego, intelektualnego i artystycznego naszej twórczości, zwłaszcza dramatu, poezji, eseju — a więc gatunków, które najczęściej publikowane są na łamach czasopism.

Życząc „Nowej Kulturze“ dalszych sukcesów i rozkwitu w następnym pięcioleciu, życzę przede wszystkim zwycięskiej walki o publikowanie utworów, które by głębiej sięgały w problematykę naszego życia, które by głębiej intelektualnie je problematyzowały. Wiem z doświadczenia redaktora, że w tym zakresie rola kolektywu redakcyjnego i jego pomoc dla pisarzy może być duża.

— Jak określilibyście, profesorze, zarysowujące się obecnie przed pisarzami i krytykami zadania? Mamy na myśli tę nową sytuację w naszym życiu kulturalnym (zresztą nie tylko kulturalnym), o której tyle się mówi i pisze w ostatnim okresie.

— We wszystkich dziedzinach życia społecznego liczymy dziś na pełniejszą niż dotychczas aktywizację naszego społeczeństwa przeobrażonego tak głęboko przez dziesięciolecie budowy socjalizmu. Potrzebna jest nam myśl krytyczna każdego obywatela. Tym większe możliwości stają przed literaturą, której przyrodzonym obowiązkiem jest poznawanie życia, rozwijanie w nim kiełków nowego, krytyczna walka ze starym, które tłumi te młode kiełki. Dopiero zaczynamy iść tą drogą najpełniejszej aktywności, drogą, którą ukazało III Plenum KC Partii. W związku z tym myślę, że już czas przestać pisać metodyczne artykuły o tym, jak należy dyskutować i jak należy pisać o literaturze, czas aby się pojawiły nie tylko grymasy, że to czy owo zagadnienie, tego czy owego pisarza przeszłości interpretuje się wulgarnie, czas żeby się pojawiły nowe pozytywne rozwiązania problemów estetyki, nowe niewulgarne interpretacje. Dotąd bowiem inaczej niż pisywaliśmy dwa, trzy lata temu pisał o różnych pisarzach Sandauer, ale mnie jego artykuły, w których przy Broniewskim nie wspomina się o KPP, a przy Jastrunie o realizmie — nie podobały się. Natomiast innych pozytywnych i nowych prac o literaturze niewiele widziałem, chyba jednego Wyki, albo coś nie coś o bardzo dawno umarłych pisarzach Budzyka, czy też niezbyt znanych Janionówny.

Myślę, że głównym brakiem „Nowej Kultury“ jest to, że nie ma w niej artykułów, które by po nowemu stawiały sprawy pisarzy dzisiejszych. Prawa walki o wytknięcie nowego kierunku w literaturze w poprzednich latach kazały skupić uwagę na pewnych zagadnieniach, np. poszerzeniu tematyki, a przymykać oczy na inne sprawy, jak np. pogłębienie problematyki postaci. Dzisiaj, gdy już przywykliśmy do zysków, szczególnie dokuczliwe są dla nas szkody wynikłe z takiego postępowania. Myślę, że w naprawieniu tych szkód pomoże wzbogacenie kryteriów i zaostrzenie ich, tak jak to obowiązuje wobec pisarzy klasycznych.

Jeśli będziemy mieli odwagę polemiki z dzisiejszymi i dawniejszymi pisarzami żywymi w naszej współczesności, będzie to sprzyjać tak pożądanej aktywności pisarzy i krytyków. Oczywiście, nie chodzi tu o dyskusję warsztatową, specjalistyczną. Literatura rozwija się w ostrej dyskusji ze współczesnością. W okresie „Kuźnicy“ pasjonowaliśmy się problematyką procesów i przeobrażeń społecznych. Myślę, że dziś na czoło wysuwa się problematyka moralna, dotąd raczej nieśmiało postulowana, problematyka nowej moralności, problematyka miłości, problematyka postawy jednostki-współgospodarza socjalistycznej ojczyzny. Myślę również, że trzeba walczyć z odżywającymi tu i ówdzie mętnymi tendencjami eklektyków twierdzących, że pełny człowiek nie obejdzie się bez metafizyki. Trzeba pokazać — w świetle nowych, dojrzalszych potrzeb naszego społeczeństwa — godność jedynej do pełnego człowieczeństwa prowadzącej drogi, którą określa praktyka rewolucyjna, naukowy światopogląd, twórcza metoda materializmu dialektycznego. Im więcej i im lepiej zajmą się tymi sprawami literatura i czasopiśmiennictwo, tym skuteczniej urzeczywistnią te nowe zadania, które III Plenum pomogło nam zrozumieć.

Wywiad przeprowadziła

A. Bukowska

Nowe książki

FRIEDRICH WOLF „Dramaty“ (wybór). Wstępem opatrzył Roman Szydłowski. PIW 1955, cena tom I/II zł. 25,50.

W dwutomowym wydaniu utworów dramatycznych zmarłego w 1953 roku wybitnego pisarza niemieckiego Friedricha Wolfa znalazło się 5 dramatów: „Tomasz Münzer. Człowiek z tęczowym sztandarem“ przetłumaczony przez Andrzeja Dołęgowskiego, „Beaumarchais czyli narodziny „Figara“ i „Marynarze Cattaro“ w przekładzie R. Szydłowskiego, „Profesor Mamlock“ spolszczony przez J. Dmochowską, oraz „Sołtys Anna“ — dramat, który przełożył W. Szewczyk.

Przedmowa Romana Szydłowskiego zapoznaje dokładnie z biografią Wolfa, oraz informuje, jak kształtowały się poglądy na sztukę autora słynnego sformułowania — „Sztuka jest orężem“, które stało się hasłem dla wszystkich twórców niemieckiej lewicy.

Impulsem do napisania znakomitej sztuki „Marynarze z Cattaro“ (1930 rok) był zakończony klęską bunt marynarzy floty austriackiej. W utworze tym ostrzegał Wolf klasę robotniczą przed zdradą socjaldemokratycznych przywódców, przed niebezpieczeństwem faszyzmu. „Marynarzy“ tłumaczył na język rosyjski Wsiewołod Wiszniewski. Szydłowski zwraca uwagę na pokrewieństwo istniejące między tymi dwoma pisarzami, znajdując także podobieństwa między sztuką Wolfa a „Optymistyczną tragedią“.

„Profesor Mamlock“ powstał już na emigracji w 1933 roku i jest wielkim protestem autora przeciw okrucieństwu hitlerowskiego rasizmu. Dramat „Beaumarchais czyli Narodziny „Figara“ pisał Wolf w ciężkich latach pobytu w obozie koncentracyjnym w Vernet. Problemem zasadniczym tej sztuki, podobnie jak „Profesora Mamlocka“, jest problem człowieka niezdecydowanego, słabego, biernego, który nie umie wybrać miejsca w toczącej się walce. „Beaumarchais przeżywa w sztuce ewolucję podobną tej, jaką przeszła uwsteczniająca się na przestrzeni stuleci burżuazja“ — pisze R. Szydłowski.

Jedną z ostatnich sztuk Wolfa jest „Sołtys Anna“, sztuka poświęcona problematyce odbudowy wsi niemieckiej.

Prapremiery „Tomasza Münzera“, dramatu napisanego w 1952 nie doczekał już autor, gdyż odbyła się ona w kilka miesięcy po jego śmierci.

Nazwisko Friedricha Wolfa nie jest obce polskim miłośnikom sztuki dramatycznej i bywalcom teatru. Wielu z nich pamięta na przykład przedstawienie dramatu „Cjankali“ wystawionego w latach trzydziestych w Łodzi, które usiłowali przerwać, terroryzując publiczność, polscy faszyści. Są i tacy, którzy widzieli przed wojną „Profesora Mamlocka“ na scenie Warszawskiego Teatru Żydowskiego. Młodsze pokolenie zna Wolfa jako autora sztuki „Tai Yang budzi się“ granej w 1950 roku w Teatrze Polskim w Warszawie, oraz jako twórcę scenariusza do świetnego filmu „Rada Bogów“. Wybór dzieł wydanych przez PIW i przedmowa R. Szydłowskiego pozwolą czytelnikom zapoznać się bliżej z twórczością wybitnego pisarza.

FRIEDRICH WOLF: „Mane Tekel, czyli latające talerze“, przełożyła Maria Wisłowska. Wstęp Marceli Ranicki, cena zł. 19,80.

Friedrich Wolf poza dramatem uprawiał także inne formy literackie. W jego puściźnie literackiej pozostały wiersze, poematy, nowele, bajki i powieści. Spośród powieści znane były u nas tylko te, które powstały w okresie emigracji. Walczył w nich autor z hitleryzmem i ukazywał postępowe siły narodu niemieckiego. Wymienimy tu takie tytuły jak: „Pogranicze“, „Kożuszek z Rosji“ i „Powrót synów“. „Mane Tekel, czyli latające talerze“ to powieść z roku 1952, w której pisarz ukazał brutalne metody walki amerykańskich kapitalistów i spustoszenie wewnętrzne, jakie wywołuje w społeczeństwie amerykańskim podsycana przez wsteczne elementy psychoza wojenna i antykomunistyczna“ — pisze we wstępie M. Ranicki.

LOUIS ARAGON „WIERSZE“ pod red. J. Zagórskiego, Czytelnik 1954.

Starannie wydany z piękną okładką, zaprojektowaną przez utalentowanego grafika Jana Młodożeńca tomik wierszy Aragona to także wybór. Wybór, który obejmuje utwory napisane od r. 1933 aż po ostatnie. Wiersze ułożone są chronologicznie. Przetłumaczone zostały na język polski przez naszych najlepszych tłumaczy: Z. Bieńkowskiego, M. Buczkownę, K. I. Gałczyńskiego, P. Hertza, H. Januszewską, M. Jastruna, G. Karskiego, L. Lewina, J. Maślińskiego, A. Pawlikowską, S. Pollaka, J. Rogozińskiego, W. Szymborską, A. Świrszczyńską, A. Ważyka, J. Zagórskiego i J. Zycha.

Przedmowa Zbigniewa Bieńkowskiego odbiega od utartego u nas schematu encyklopedycznego, nużącego monotonią języka i oschłością relacji. Napisana pięknym językiem jest wyrazem stosunku autora do poety francuskiego a równocześnie daje bardzo wiele konkretnych informacji o drodze artystycznej Aragona. Swoje rozważania na temat roli Aragona w literaturze francuskiej kończy Zbigniew Bieńkowski słowami: „Dzisiaj poezja Aragona jest niemilknącym głosem sumienia. Rozlega się daleko poza granice francuskiej mowy. Rozlega się wszędzie, gdzie zagrożona jest godność człowieka, gdzie toczy się walka o wolność świata. Nie słabnie w niej temperatura namiętności. Mimo długiej przebytej drogi, mimo wielu doświadczeń Aragon nie nauczył się umiarkowania. Jego poezja dzisiejsza jak pierwsze wiersze nie ma uspokojenia ani letnich uczuć. Bije w niej wciąż serce granatu. Taki już los poezji, kiedy jest prawdziwa“.

K. Nast.

KOMUNIKAT S. W. „CZYTELNIK“

SW. „Czytelnik“ przygotowuje obszerną publikację z dziejów nurtu rewolucyjnego w dwudziestoleciu, na które złożą się wspomnienia i fragmenty pamiętników pisarzy, dziennikarzy, kompozytorów, malarzy, filmowców, reżyserów, aktorów i innych działaczy kulturalnych, którzy bądź sami czynnie uczestniczyli w ruchu rewolucyjnym, bądź też stykali się bezpośrednio z ludźmi, którzy tę walkę prowadzili.

Wszyscy, którzy bodaj okruchami swoich wspomnień publikację naszą mogą wzbogacić, uprzejmie proszeni są o przesłanie odpowiednich materiałów do dnia 1 czerwca br. na odres: „Czytelnik“, Warszawa, ul. Wiejska 12a, Redakcja Społeczno-Polityczna, lub też o osobiste porozumienie się z redakcją.

KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

Będzie „Księga przysłów"

W odpowiedzi na artykuł „O zbiorach przysłów" jaki ukazał się w 11 numerze „Nowej Kultury", śpieszę powiadomić szanownego redaktora, że z przysłowiami polskimi nie jest tak źle.

Państwowy Instytut Wydawniczy w planach swych pomieścił wydanie „Nowej księgi przysłów polskich" i praca nad przygotowaniem jej do druku trwa już od roku.

Przysłowia stanowią ciekawy i dość osobliwy obszar stykowy kultury narodowej, na którym spotykają się ze sobą i splatają w przedziwny węzeł wszystkie niemal dziedziny życia społecznego.

Tym samym dają więc nam w sumie jedyny w swoim rodzaju i niezwykle interesujący przekrój historyczny kultury narodowej, który w sposób wprawdzie nie naukowy, lecz nadzwyczaj obrazowy przedstawia nawarstwianie się poszczególnych okresów kulturowych, budowę zrębów państwowości, tworzenie się klas społecznych, wreszcie antagonizmy i walkę tych klas z sobą.

Badania przysłów od tej właśnie strony nie były u nas prowadzone, a szkoda — studium takie dałoby bowiem wiele ciekawego materiału dla dziejów kultury polskiej.

Jeszcze większą wartość przedstawiają przysłowia dla literatów, publicystów czy też działaczy społecznych. Pod tym względem jest to wprost niewyczerpana skarbnica.

Ileż tam jest wnikliwych spostrzeżeń z życia, ileż głębokich prawd i praktycznej filozofii, ileż plastyki i humoru, ileż wreszcie wspaniałych metafor lub ciekawych porównań.

Paremiografia czyli piśmiennictwo przysłów, jest niemal tak stara jak język polski i w kulturze naszej ma swą specjalną i dość chlubną kartę.

Otwiera ją w 1618 r. nestor paremiografii polskiej Salomon Rysiński swym „Proverbiorum polonicorum", a kończy w 1894 ogromną „Księgą przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych" Samuel Adalberg.

Po ostatniej wojnie zaobserwować można w niektórych krajach słowiańskich dość ożywiony ruch wydawniczy w zakresie paremiografii i paremiologii. Z publikacji radzieckich wymienić należy książkę N. Kołpakowej pt. „Kniga o ruskom folklore" Leningrad 1938 r., a z czeskich: J. Zaorálka „Lidova rceni" Praha 1947 oraz F. L. Celakóvského „Mudroslovi narodu slovanského ve prislovich" Praha 1949 wydanie wznowione.

Z najnowszych pozycji zasługuje na uwagę cenna praca Józefa Ondrusza, nauczyciela w Karwinie pt.: „Przysłowia i powiedzenia ludowe ze Śląska Cieszyńskiego". Cieszyn Czeski 1954, obejmująca około 8 tysięcy przysłów. Książka została wydana nakładem Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji.

W Polsce od czasu wydania pomnikowego zbioru Adalberga minęło już lat sześćdziesiąt. Zapowiadane wydanie drugie „Księgi przysłów" nie ukazało się, a materiałów przysłowiowych drukowanych w broszurach czy w różnych czasopismach nagromadziło się multum. Sama „Księga przysłów" Adalberga jest obecnie wielką rzadkością, a miarą tej rzadkości może być choćby jej cena na warszawskim rynku antykwaryjnym, wahająca się od 1800 do 2000 zł.

W tym stanie rzeczy nastąpiła konieczność wydania nowej księgi przysłów polskich.

Z inicjatywą twórczą wystąpił tu Prezes CUW Karol Kuryluk. Ostatecznie też w kwietniu 1954 r. dzięki życzliwemu poparciu Dyrekcji PIW i staraniom Prof. J. Krzyżanowskiego powstała przy Państw. Inst. Wydawn. nowa placówka naukowa nosząca nazwę „Zespołu Redakcyjnego „Nowej księgi przysłów polskich" pod naczelną redakcją Prof. J. Krzyżanowskiego. Mieści się ona obecnie w roli sublokatora w Instytucie Badań Literackich, Krakowskie Przedmieście 7.

Zadaniem „Zespołu nowej księgi przysłów" jest zgromadzenie wszystkich zbiorów drukowanych i rękopiśmiennych nieznanych Adalbergowi lub wydanych po 1894 r., przewertowanie literatury polskiej od w. XVI aż po czasy najnowsze według ustalonego kanonu czytelniczego, skontrolowanie szeregu czasopism i periodyków, włączenie tak zebranego materiału do zbiorów Adalberga i wydanie uzupełnionej „Nowej księgi przysłów polskich".

Księga ta będzie przypuszczalnie dwukrotnie większa od księgi Adalberga czyli będzie obejmowała około 1600 stron formatu słownika Lindego. Ukaże się w druku w 1956 r.

Część pracy zaplanowanej już została wykonana, mianowicie została przewertowana literatura polska począwszy od Biernata aż do Dąbrowskiej i Iwaszkiewicza. Połów udał się znakomicie — zebrano łącznie około 100 tysięcy przysłów nowych, wariantów i dubletów.

Obecnie trwają prace nad opracowaniem zebranego materiału i włączeniem go do zbiorów Adalberga.

W końcu bieżącego roku planowane jest wydanie zeszytu próbnego „Nowej księgi przysłów polskich".

W trosce o jak najlepsze opracowanie „Nowej księgi przysłów" zwracamy się tą drogą z prośbą do wszystkich posiadaczy jakichwolwiek zbiorków rękopiśmiennych czy drukowanych o skontaktowanie się z redakcją, a do szerokiego ogółu o nadsyłanie pod adresem redakcji materiałów przysłowiowych z współczesnej mowy żywej. O tę nam chodzi najwięcej.

Żyjemy w epoce największego w naszych dziejach przełomu kulturalnego i społecznego, do władzy doszedł lud — dotychczasowy najważniejszy producent przysłów i zwrotów utartych. Powstaje więc zagadnienie: jak te przeobrażenia odbiły się w słownictwie przysłowiowym i jakie po sobie zostawiły ślady.

Prośbę swą kierujemy do pokrewnych instytucji naukowych, rad narodowych, szkół wszystkich stopni, fabryk i wszelkich innych zakładów pracy.

Na zakończenie drobna uwaga. „Księga przysłów" Adalberga — największy i najcenniejszy z dotychczasowych zbiorów paremiografii polskiej — obok bezsprzecznej swej wartości naukowej ma jedno małe „ale".

Adalberg, przeznaczając swe dzieło dla szerokich mas czytelniczych nie włączył do niej celowo bogatego materiału obscenicznego, czyli tzw. przysłów i zwrotów przysłowiowych nieprzyzwoitych, wulgarnych.

W ten sposób obszerny odcinek kultury polskiej, wprawdzie nie najwyższej jakości i budzący poważne zastrzeżenie natury estetyczno-moralnej, jednak dla badaczy obyczajowości polskiej ciekawy i ważny, znalazł się poza nawiasem nauki polskiej.

Obecna redakcja „Nowej księgi przysłów polskich" pragnie ten świadomy „błąd" Adalberga naprawić i wydać oddzielnie materiały obsceniczne dla użytku wyłącznie naukowego i dlatego prosi o nadsyłanie również i tych nieślubnych dzieci paremiografii polskiej i to tak jak je nieobyczajna obyczajowość stworzyła — tj. bez wykropkowań.

Stanisław Swirko
Sekretarz zespołu redakcyjnego „Nowej księgi przysłów"

Pracowity żywot pisarza

(WSPOMNIENIE O JÓZEFIE JEDLICZU)

Józefa Jedlicza poznałam dopiero w pierwszych latach po wyzwoleniu w Częstochowie, gdzie wyrzuciła nas fala wypadków wojennych. Starszy pan, wysoki i barczysty, o okrągłej, dobrze sklepionej głowie i jasnych oczach, które patrzyły na świat z jakąś mądrą, a niepozbawioną humoru wyrozumiałością. Uczęszczał stale na środowe odczyty, urządzane przeze mnie z ramienia miejscowego Klubu Literackiego w sali Biblioteki Miejskiej, której byłam wówczas kierowniczką. Przychodził zwykle trochę wcześniej i od razu zagłębiał się w encyklopedie i słowniki, jakie udało się ocalić ze szponów hitlerowskich drapieżców. Dopiero później dowiedziałam się, że tą drogą uzupełniał i kontrolował przypisy do ukochanego i największego dzieła swego życia: do przekładu „Ptaków" Arystofanesa.

Józef Kapuścieński (pseudonim Jedlicz) urodził się w roku 1878 jako syn małorolnych górali w powiecie nowotarskim. Pierwsze nauki pobierał w Czarnym Dunajcu i Nowym Targu, gimnazjum i studia uniwersyteckie na wydziale filozoficznym ukończył w Krakowie. Już jako dwudziestoletni student zaczął ogłaszać poezje, nowele, artykuły literackie w pismach krakowskich, lwowskich i warszawskich.

Po ukończeniu studiów objął posadę nauczyciela gimnazjum w Jaśle, ale już we dwa lata później przeniósł się na stałe do Lwowa, gdzie wkrótce pożegnał się z pedagogią i poświęcił całkowicie publicystyce i literaturze. I odtąd przez trzydzieści kilka lat aż do wybuchu drugiej wojny światowej pracuje niestrudzenie, głównie jako recenzent teatralny w pismach lwowskich i jako popularyzator sztuki dramatycznej przez wygłaszanie odczytów we Lwowie i na prowincji. Tu trzeba zanotować ważny fakt. W r. 1907 Jedlicz wspólnie z Tadeuszem Pawlikowskim, dr Gargasem i paru innymi działaczami założyli we Lwowie Związek Teatrów i Chórów Włościańskich, który w ciągu kilku lat ogarnął Galicję, a po 1918 roku rozszerzył się na cały kraj.

W latach 1925 — 1928 był Jedlicz kierownikiem literackim Teatrów Miejskich we Lwowie, a następnie referentem kultury i sztuki w Zarządzie Miejskim aż do roku 1939. Trudno jest na tym miejscu wyliczyć wszystkie jego prace teatrologiczne, wzbogacane stale prowadzonymi studiami w tym kierunku. Same recenzje teatralne objęłyby kilka tomów.

Z jego prac oddzielnie wydanych należy wymienić: dwa zbiory poezji: „Słoneczna pieśń" i „Nieznanemu Bogu", zbiór nowel „Jasny i Czarny", studium teatrologiczne „Teatr a kino", wreszcie przekład „Ptaków" Arystofanesa. Poza tym ogłosił w pismach literackich pierwszy w Polsce przekład kilku poezji Walta Whitmana, przekład dłuższego poematu łacińskiego lirycznego z wieku XV „List do Panny", odczyty: „O mijambach Herondasa i kabarecie starogreckim", „O staropolskiej komedii rybałtowskiej" i wiele innych.

Stefania Podhorska-Okołów

ZA GRANICĄ

REFORMA ORTOGRAFII NIEMIECKIEJ zajmuje coraz więcej miejsca na szpaltach czasopism literackich i kulturalno-społecznych w NRD. Za koniecznością reformy wypowiadają się wybitni uczeni i pisarze. Ostatnio nowe głosy i sprawozdania z dyskusji przyniosły „Neue deutsche Literatur" i „Aufbau". Podobna dyskusja toczy się w Austrii, przy czym część dyskutantów w „Tagebuch" wypowiedziała się niedawno za... zróżnicowaniem pisowni niemieckiej i austriackiej. (a))

☆

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI w Bonn wydało specjalną listę książek, które „zagrażają młodzieży". Listę tę sporządził urząd pod nazwą „Bundesprüfstelle für jugendgefaehrende Literatur". Bardzo groźnymi autorami zdaniem urzędników z Bonn są dla młodzieży zachodnio-niemieckiej Zola i Balzac. To samo ministerstwo, jak podaje „Taegliche Rundschau", wyjaśnia przy okazji: „Obrót antykwaryczny książką **Mein Kampf** nie jest zakazany". (a)

☆

„BIEG DO FRAGALA" Juliana Stryjkowskiego został dotąd przetłumaczony na 7 języków. Ostatnio po wydaniach czeskim (tłum. H. Teigowa) i słowackim ukazało się wydanie norweskie „Biegu do Fragala" w tłumaczeniu Alf Bie Christianssena (wyd. Falken Forglag-Oslo). (z)

☆

„DER GEBURSTAG DES DIREKTORS" — „Imieniny pana dyrektora" Skowrońskiego i Słotwińskiego wystawione na scenie teatru w Goerlitz (NRD). Jest to szósta z kolei niemiecka prapremiera sztuki polskiej w Goerlitz w ostatnich latach. Omawiając przedstawienie „Imienin pana dyrektora" w Goerlitz prasa niemiecka zauważa: „Obydwaj autorzy, którzy rozpoczęli swoją powojenną współpracę literacką jednoaktówkami dla scen świetlicowych — osiągnęli komedią satyryczną „Imieniny pana dyrektora" wybitny sukces twórczy". (a)

☆

DANIEL CZEPKO — to, jak pisze berliński miesięcznik „Aufbau", jedna z czołowych postaci literatury niemieckiej XVII wieku. Za życia poety ze względów politycznych i religijnych ukazało się tylko niewiele jego utworów. Najwartościowsze pozostały w manuskryptach, które znajdują się obecnie w bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu. Czepko był z pochodzenia Polakiem. Rodzice chcieli wysłać go początkowo na dwór królewski do Warszawy. Zamiast do Warszawy Czepko udał się jednak do Strassburga, gdzie studiował prawo. Najwartościowsze dzieło Czepki nazywa się „Coridon et Phillis". Jest to poemat o Wojnie Trzydziestoletniej...

Wiadomość o manuskryptach Czepki, jak zaznacza „Aufbau", przekazał niemieckim historykom literatury Marian Szyrocki z Wrocławia. (a)

☆

II MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY odbędzie się w dniach od 15 maja do 15 czerwca br. w paryskim teatrze Sary Bernhardt. Dotąd zgłosiły udział w Festiwalu teatry: polskie, rumuńskie i teatry NRD. Aktorzy z NRD wystawią m. in. „Kaukaskie koło kredowe" Bertolda Brechta. Komitet Festiwalowy spodziewa się w najbliższym czasie zgłoszeń ze Związku Radzieckiego, z Japonii, Szwecji i in. (a)

☆

WALKA Z CHULIGAŃSTWEM toczy się w ZSRR od dawna. Na łamach prasy ludzie rozmaitych zawodów omawiają przyczyny tego zła społecznego i środki walki z nim. Jednym z ciekawszych głosów jest niedawna wypowiedź znanego pisarza Ilji Selwińskiego zamieszczona w piśmie „Litieraturnaja Gazieta". Selwiński zwraca uwagę na konieczność odróżniania chuligaństwa od przestępstwa. Radziecki kodeks karny przewiduje w art. 74 karę za chuligaństwo do 5 lat więzienia. Jest to ostateczność. Główny ciężar walki z chuligaństwem spada na milicję, której społeczeństwo często przeszkadza swoim liberalnym stosunkiem do chuliganów. Liberalizm społeczeństwa jest tym bardziej szkodliwy, że utwierdza chuligana w jego poczuciu wyższości, które jest jednym z motorów jego działania. Chuligan chce być aktorem. Selwiński proponuje, aby sprawy chuliganów rozstrzygane w sądzie przenosić dla większej skuteczności do środowiska, z którego pochodzą: do szkoły, do miejsca pracy itd. Słowem — przyciągnąć do sprawy ludzi nieobojętnych, a przez to zapobiec podobnym wypadkom w tym środowisku. (t)

☆

ROMAN CHANDLER, 66-letni twórca powieści kryminalnych, jeden z czołowych „pisarzy kryminalnych" w Stanach Zjednoczonych, został odwieziony niedawno do szpitala wariatów, którego urządzenia „odpowiadają wysokości kont w książeczkach czekowych pacjenta". Bezpośrednim powodem odwiezienia Chandlera do szpitala wariatów był... wypadek w pracy. Chandler znajdując się w „wybitnym nastroju twórczym" schwycił pistolet i wychyliwszy się do połowy z dymnika na dachu swojej willi, zaczął ostrzeliwać okolicę. Policja nie dała wiary tłumaczeniom, że chodzi tylko o tzw. zdobycie realiów do nowej powieści. Niemniej, z dwu alternatyw: więzienie albo szpital dla umysłowo chorych — wybrano drugą. (a)

Ukazał się nowy numer (1/1955) czasopisma popularno-naukowego

„PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY"

Numer zawiera m. in. następujące publikacje:

ARTYKUŁY I UTWORY LITERACKIE:

W. Jabłoński: V rocznica proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej
Ł. Hirszowicz: Tło zamachu stanu w Iranie w sierpniu 1953 r. (I)
A. Zajączkowski: Na Międzynarodowym Konkursie Orientalistów w Cambridge
W. Jabłoński: XXIII Międzynarodowy Kongres Orientalistów w Cambridge
S. Strelcyn: Na marginesie XIII zjazdu orientalistów polskich
Amen-aa: Rozbitek (przełożył z greckiego T. Andrzejewski)
Mencjusz: Fragmenty z dzieła „Meng-Tsy" (przełożył z chińskiego A. Dębnicki)
Yamanoe-no omi Okura: Dialog o nędzy (przełożył z japońskiego W Kotański)
Szems-ed Din Hafiz Szirazi: Gazele (przełożył z perskiego A. Zajączkowski)
Omer Seyfettin: Zaklęcie (przełożyła z tureckiego S. Płaskowicka-Rymkiewicz)
Kuo Mo-żo: Tukiafu (przełożyła z chińskiego H. Smisniewicz-Andrzejewska)

Z PRACOWNI RĘKOPISÓW ORIENTALNYCH:
F. Kupfer: Dokument hebrajski dotyczący stosunków kościelnych w XVII wieku

MATERIAŁY I NOTATKI

A. Dębnicki: Wieczór literatury chińskiej
B. Majewska: Nowe polonica irańskie
O współczesnej literaturze Wschodu: A. D., O nowej literaturze arabskiej — B. M., O zagadnieniach nowoczesnej literatury perskiej

RECENZJE

Sprzedaż numerów **„Przeglądu Orientalistycznego"** — w głównych punktach **RUCHU** i w księgarniach naukowych.

Prenumeratę na II półrocze 1955 r. (24 zł) przyjmuje Centralna Ekspedycja Ruchu, Warszawa, Srebrna 12. Konto PKO nr 1-110-14.000.

k 369-1

List do tajniaka krytycznego

(Dokończenie ze str. 5)

które były krytyczne — uświadomiły mi dramat poezji na rozdrożu. Nie gwar kłótni krytycznej, lecz częste milczenie robotniczej sali w objazdach autorskich o tym decydowały.

Gdy w parę lat później przygotowałem ów „Wybór", nie powodowała mną z kolei smutna satysfakcja skonfrontowania własnej przeszłości poetyckiej z owym niehamowanym już przez „złe przykłady" grzecznym „rozwojem młodych poetów", ani chęć zademonstrowania skromnego raczej dorobku, który mam od czasu owej rewizji własnych poetyckich kryteriów. Sądziłem po prostu, że nie ma celu ani powodu do ukrywania w poetyckiej geografii 10-lecia rzeczy, które w nim istniały i jakąś rolę odegrały. Sądziłem, że mam prawo skonfrontować publicznie to najlepsze w moim dorobku dawniejszym i to co uważałem za godne pokazania z rzeczy powstałych z późniejszych niełatwych przemyśleń...

Wydawało mi się, że mam prawo oczekiwać od krytyki zarejestrowania tej długiej, pokrętnej i nieobojętnej przecież dla poezji 10-lecia drogi. A tymczasem pierwsze moje tomiki wywoływały żywe dyskusje, spory polemiczne, awantury. Poezja tam była i warta owej dobrej noty „szaleństwa" i całkowicie jej pozbawiona. Ale...

Następnych dwóch lat „nadeptywania gardła swojej pieśni" nie pokwitował nikt ani słowem. Powstała zasadnicza trudność. Widocznie artykuł Ważyka z 1950 roku podsumowujący dyskusję „obowiązywał".

Irzykowski w przedrukowanej po wojnie w „Twórczości" krytycznej ocenie mego „zielonego" tomu wspomniał: „autor pomimo pewnej megalomanii za mało się sobą interesuje".

A więc proklamuję publicznie przykrą tezę o megalomanii, (byle usprawiedliwić „zainteresowanie się sobą") gdyż bez „megalomanii" polegającej na cytowaniu cudzych, korzystnych o sobie opinii nie uzmysłowię nikomu humorystycznej operacji, jakiej dokonano wymazując moje nazwisko z 10-lecia nowej poezji tak skrupulatnie, iż nie pojawiło się nawet w referacie „na 10-lecie", wygłoszonym przez Kazimierza Brandysa, członka zespołu redakcyjnego, który przestał istnieć po dyskusji o poezji.

A sens tej dyskusji tak oto scharakteryzował w wykładzie dla młodych, naszych następców, (tych, którym już „nie przeszkadzałem"):

„Wnioski, jakie wyciągnięto z dyskusji, prowadziły zarówno do potępienia estetyzmu, pięknoduchostwa poetów „Kuźnicy" jak do antyestetycznego, rozwichrzenia ideowego i artystycznego takich poetów jak Bratny!" I dalej: „i Jastrunowi i Bratnemu i innym poetom dyskusja pomogła przemyśleć swoje błędy i zrobić duży krok w kierunku ich przezwyciężenia. Świadczą o tym ostatnie wiersze Jastruna pełne nieukrywanej poezji politycznej i wiersze Bratnego oczyszczone z grymasu..."

A więc: w czasie dyskusji bito za antyestetyzm, jak podsumowywał potem Woroszylski, bito za brak szacunku wobec tradycji — jak ocenił Ważyk. Tymczasem Leopold Staff mówiąc o drukowanej w „Odrodzeniu" rozmowie o tym, jak rozmaite wpływy „hamują nasze polskie cechy pewnej oryginalności w poezji, wspomniał dalej: „jednak co dają młodzi — jak Różewicz, Bratny — stoi na bardzo wysokim stopniu artyzmu".

A więc albo Ważyk strzegł innej, lepszej niż Leopold Staff, tradycji, albo sytuacja, w której za eksperyment „bito tradycją" nie była w zgodzie właśnie z dobrze zrozumianą tradycją rozwoju poezji.

Dziwnie brzmią te cytaty. Mocno mnie gniewają i trudno mi nie opatrzyć ich „komentarzem", że nie z potrzeby robienia sobie samemu klaki je przytaczam. Jestem za najostrzejszym nawet wygwizdywaniem, ale nie za przemilczaniem. Nawet gwizd jest polemiką, a polemika jest nie tylko ciałem krytyki, kością publicystyki, ale i duchem poezji.

Sam zacząłem swą powojenną działalność od entuzjazmu wówczas gdy był on polemiczny w stosunku do nastrojów pookupacyjnych (*„ale me łzy gdy staną w oczach — niech pociągnie do odpowiedzialności milicja — za hamowanie swobodnego ruchu obrazów — w zatłoczonych widokami odbudowy źrenicach"*).

Rozminąłem się z entuzjazmem wcześniej niż „upowszechnił" się on do tego stopnia, że za drobną zaliczkę na spodnie — jak to się komuś zdarzyło — zaczęto się powszechnie unosić w „zgodnych z tradycją" rymach nad wielkością epoki i jej twórcy. Cała moja koncepcja poezji była polemiczna. Pisałem o „dramatyzacji liryki" w okresie gdy „oficjalni" poeci swoje równe mojemu lub lepsze „szaleństwa" — ubrali w klasyczne formy.

Nie boję się żadnej krytyki, wychodzę nawet naprzeciw krytyce, gdy krytyka ta jest uczciwa.

Powtarzam jednak, że bardziej niż krzyk zorganizowanych dyskutantów, po którym umilkła poezja, strwożyło mnie częste milczenie robotniczej sali, gdy w objazdach autorskich czytałem wiersze. Zaparłem się swoich tęsknot do „szaleństwa" w poezji. Nie obawiałem się „zaprzeć" i pojedynczego wiersza, pisząc kiedyś do Dziennika Literackiego: „Ze zdziwieniem przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Życia Literackiego" erotomański i ekshibicjonistyczny wiersz pt. „Ostatnie spotkanie". O ile jako stały czytelnik tak pożytecznego masowego pisma literackiego mógłbym poprzestać na wyrażeniu zdziwienia, że drukuje ono taki utwór, to jako autor tego utworu winien jestem parę słów wyjaśnienia..."

Wspomniałem o tym, by podkreślić po megalomańsku, że krytyk, z którym najbardziej się liczę, to jest ja sam — miewa mocno krytyczny stosunek do „dokonań" Bratnego, że nie kultywuję „szuflady" w przekonaniu, że przyjdzie do niej skruszona historia literatury, że robiąc ów wybór przetrzebiłem dokumentnie swój dorobek.

Poeta, który w sposób najbardziej żywiołowy musiał nie akceptować moich pomysłów, pisał przed laty lojalną recenzję wydawniczą, poprzedzającą wydanie mojego ostatniego tomu, po którym nastąpiła — cisza mniej lojalnych a bardziej wystraszonych krytyków.

Krytyk — anonim, który uniemożliwił mi dokonanie publicznego obrachunku z przeszłością poetycką, dokonał na moim tomie jednego zapisu „czy aby". Stwierdził nim, że nie przestałem „szaleć". Może „szalonemu" wybaczy, że wyciągam na jaw jego ciche myśli? A jeśli nie? — Niechże na przyszłość jeszcze pilniej zaciera (gumką) ślady swej działalności.

Roman Bratny

SPRAWOZDANIA I UWAGI

Charaktery i anegdoty z mieszczańskiego salonu

Szanowni i Drodzy Czytelnicy! W u r o c z y s t y m dniu, gdy „Nowa Kultura" obchodzi piątą rocznicę istnienia — w dodatku jest to Prima Aprilis — Waszemu sprawozdawcy należy się odpoczynek, a Wam nieco zabawy. Pozwólcie więc, że rezygnując z podjęcia problemu serio, Wasz kronikarz spróbuje Was rozerwać chaotyczną przechadzką literacką. Być może zajmująca będzie wizyta we współczesnym francuskim salonie mieszczańskim, gdzie nie byliśmy już dawno.

Mamy właśnie okazję posłuchać rozmów towarzystwa paryskiego, gdyż felietonista Bernard Minoret opublikował „Petit sottisier de la bourgeoisie" („Mały zbiór głupstw mieszczańskich"). Wyraz „sottisier" ma swoją tradycję; jakkolwiek nie należy do klasycznego leksykonu i nie jest wymieniony w słowniku Larousse'a, używany był już przez Woltera, który kolekcjonował „myśli utarte" krążące w pretensjonalnym towarzystwie. Dokumentem najbardziej miażdżącym w tym rodzaju jest „Dictionnaire des idées reçues" („Słownik komunałów"), w którym Flaubert ułożył według alfabetu zwroty używane przez mieszczaństwo w latach 1850-tych. (A r t y s t a: geniusz zawsze graniczy z szaleństwem. R z e ź n i k: może być straszny podczas rewolucji).

Kolekcja Flauberta odtwarza jego nienawiść do klasy „przyziemnej niby stonogi"; tymczasem Henri Monnier, twórca postaci „wzorowego obywatela, pana Prudhomme", nadaje głupocie swego bohatera dobroduszne ciepło („Ta szabla jest najpiękniejszym dniem mego życia; będę nią bronił naszych republikańskich instytucji, a w razie potrzeby zwalczał je"; „Napoleon, gdyby był pozostał skromnym porucznikiem artylerii, do dziś może byłby cesarzem"; „To jest moja opinia i ja ją podzielam"). Zbiory Flauberta i Monniera są literacko podbarwione celem wydobycia nonsensu; współczesny ich kontynuator, Minoret, ograniczył się do dosłownego zapisywania tego co usłyszał, „nie przekształcając ani jednej litery". „Jesteśmy w salonie przy avenue Victor Hugo. (reprezentacyjna dzielnica Paryża), na wiosnę 1954 roku, godzina 10 wieczór..."

„Co się dzieje z Erykiem? — Pewnie znów wałęsa się po p i w n i c z k a c h (modne bary egzystencjalistyczne w podziemiach). Najwyższy czas wysłać go do Oxfordu! — Rzeczywiście, nie ma lepszej edukacji jak brytyjska. — Młody człowiek powinien umieć trzy rzeczy: znać angielski, dobrze tańczyć i grać w brydża. — Żeby tylko w Oxfordzie nie został pederastą! — Niech pan o nich źle nie mówi, oni są czarującymi towarzyszami dla kobiety. Wrażliwi, wyrafinowani. Wiedzą co to znaczy cierpieć jak my! — Ameryka mnie interesuje, ale nie chciałabym tam żyć. Brakłoby mi kultury. Mimo wszystko oni nie są artystami jak my. — Amerykanie to duże dzieci. To trzeba zrozumieć. — Moje marzenie, to dom na wsi z kominkiem i zapasem drzewa, rasowy owczarek, parę płyt Bacha i Vivaldiego... nie pragnę nic więcej. — A wielka miłość? Nie będzie tego pani brakować? — Miłość? Nie w naszej epoce. Co innego dawniej, gdy kobieta mogła dzielić radości i cierpienia geniusza takiego jak Byron czy Chopin. — On jest brudny jak stary grzebień, nie myje się nigdy! Pozuje na egzystencjalistę. — Ale, à propos! Może mi pan wyjaśni wreszcie, co to jest egzystencjalizm! Nikt nie potrafi na to odpowiedzieć. — Wenecja, to miasto z bajki. — Cóż pan chce, robotnicy jedzą dziś znacznie lepiej niż podczas wojny. — I niech mi pan powie, co by robili gdyby nie było pracodawców, kto by im płacił? — Co za czasy! Robi się bombę wodorową, tymczasem rak wciąż jest nieuleczalny. — Nauka zawraca nas do barbarzyństwa. W średniowieczu byli bardziej kulturalni niż my. — Mozart nie jest tak głęboki jak Beethoven, jego muzyka to czarująca rozmowa salonowa i nic więcej. — Niech mi pan powie, bo mnie to interesuje, ile biorą panienki z rue de Sèze? (prostytutki). — Droga pani, wszystko co wiem, to to, że widziałem jedną na rogu w futrze nurkowym. — W gruncie rzeczy monarchowie są zwykłymi ludźmi jak wszyscy. — Zawsze mówię, że tego nam braknie we Francji! małej królowej jak Elżbieta, to by zjednoczyło naród. — Ale wie pan, że będąc w Biaritz, widziałam księcia Windsoru? Postarzał się. — Był sam? — Nie, z n i ą (tj. z panią Simpson, dla której zrzekł się tronu). — Ta ma szczęście! Nie przestał jej kochać po 15 latach. — Odkąd jest pan antysemitą? — Ależ... od czasu okupacji! — Komunizm jest piękną ideą, ale na nieszczęście nie do zrealizowania. Zawsze będą bogaci i biedni, nic na to nie poradzimy! — Gdzie pani kupiła ten wspaniały naszyjnik? — Ach, to były smutne czasy... podczas wojny! — Swoją drogą, nie chciałbym być na ich miejscu na Kremlu. — Tam się nic nie zmieniło od caratu. Słowianie zawsze pozostaną Słowianami! — Możliwe, że Francja upadła jako państwo. Ale czyż jest cokolwiek na świecie, co by warte było Paryża na wiosnę, z jego niebem, kawiarniami, bulwarami... — To nam przynajmniej zostało. Umiar, wdzięk! Niech pan znajdzie za granicą takiego Fragonarda czy Marivaux. — Ach, gdybyśmy mieli dziś władcę jak Ludwik XIV! Upadliśmy przez Rewolucję. — Biedna Maria Antonina! Pocieszam się myślą, że miała trochę przyjemności z tym kochankiem, Fersenem. — Inteligencja to jest fluid, coś trudnego do określenia. Są tysiące gatunków inteligencji. Np. mój mieczarz jest w pewnym sensie człowiekiem inteligentnym — chciałabym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał! — Prawda, że atmosfera jest tu dzisiaj, powiedziałabym, surrealistyczna?"

Gatunkiem reprezentującym wyższy stopień rozmowy salonowej jest ankieta uprawiana przez tygodniki literackie. „Kogo chciałaby pani widzieć wieczorem wchodzącego do Jej alkowy?" Malarka Leonora Fini: Adonisa. Pani de Villeboin, przewodnicząca towarzystwa dobroczynności: Mozarta. Pewna pisarka, która nie chce podać nazwiska: markiza de Sade. „Co by pan powiedział na pięć minut przed śmiercią?" Mauriac: „O d e j d ź c i e! Zostawcie mnie samego, twarzą w twarz z wiecznością, której posłannictwo zagłuszacie od chwili, gdy się urodziłem. Louis de Broglie (znakomity fizyk, laureat Nobla): „Być może cały nasz kosmos, od najdrobniejszego elektronu do najdalszych mgławic, jest małą plamką na powierzchni jeszcze bardziej kolosalnej". Simenon (autor powieści sensacyjnych, zwolennik Sartre'a): „Nie jestem niczego pewien".

DZIENNIK EGZYSTENCJALISTY-SALONOWCA. Rodzaj salonowy na szczeblu jeszcze wyższym, to „Dziennik". Miesięczniki literackie, reprezentujące najambitniejszą sferę wymagań, publikują dziesiątki „Notatników pisarskich". Weźmy dla przykładu „Journal" Julien Greena, dramatopisarza i eseisty. Jego lektura: „Czytałem biografię Byrona. Cierpiał całe życie z powodu krótszej nogi, wymyślił specjalny sposób chodzenia „posuwiście romantyczny", który usiłował narzucić jako modę swojemu towarzystwu, wszystko by ukryć kalectwo! Co za cios dla jego dumy! Mimo że wrażliwy i delikatny, wynajął jednak za grube pieniądze miejsce w oknie naprzeciw rynku, by się przyglądać jak publicznie wieszają złoczyńcę. Rozpaczał znajdując siwy włos, nie chciał patrzeć w lustro, ponieważ tył. Wszystko to jest dziwnie smutne. Życiorys tego sławnego człowieka przygnębia jak historia wykolejeńca. Wszyscy jesteśmy tacy". Wrażenia z przedstawienia dramatu „Le diable et le bon Dieu", w którym Sartre daje obraz swojej filozofii: „Wspaniała scena, gdy kapitan Goetz mówi do księdza: „Jeśli Bóg istnieje, człowiek nie może istnieć; ponieważ zaś człowiek istnieje, jest to dowód, że Boga nie ma". Ksiądz ucieka krzycząc przeraźliwie, boi się nawet wysłuchać to zdanie do końca. Po skompromitowaniu Boga Sartre rozprawia się z możliwościami człowieka. Wszystko co robi kapitan Goetz (rzecz dzieje się w czasie wojny 30-letniej, w okresie, gdy się zaczyna nowoczesny ferment myślowy), obraca się przeciw niemu: gdy chce być dobry — czyni zło, gdy pragnie przeprowadzić rewolucję — zyskuje na niej ci, których chciał zniszczyć. Człowiek jest bezradny: zostaje mu jedno — być sobą, przeciw moralności, społeczeństwu, dogmatom, ale nie liczyć na sukces, czerpać jedyną satysfakcję z siły swego trwania indywidualnego. „Bileter wpuszczający widzów na ten dramat powinien ostrzegać słowami Dantego: „Szatnia na prawo... i jeśli zdecydował się pan wejść, proszę porzucić wszelką nadzieję".

Rozmowa z pisarzem amerykańskim (prawdopodobnie ze Steinbeckiem). „Posiwiał od czasu, gdy go ostatni raz widziałem. Mówi mi, że chorował na wrzód w ustach, bo Pan Bóg skarał go za rozprawianie o miłości fizycznej. Gdy pomyślał, że umrze, ogarnęła go rozpacz, że nie usłyszy już kantat Bacha. To go wszakże nie wyleczyło z pasji erotycznej. Złożył swoją ankietę Kinseyowi (profesorowi-seksuologowi) i nakłania mnie, bym zrobił to samo, ponieważ intelektualiści wnoszą wiele do tych badań. Opowiada mi z oburzeniem, że spalono, z pruderii, nowele pornograficzne Melville'a. On sam zamierza pisać już tylko o własnych sprawach najintymniejszych, powieści będzie wydawał wyłącznie dla zarobku. Prosił mnie bym wydrukował te jego prywatne pisma po jego śmierci, we Francji lub Szwajcarii, bo w Ameryce nigdy nie pozwolą na coś tak drastycznego".

Autor „Dziennika" również podróżuje i w ten sposób styka się ze współczesnością; oko jego reaguje jednak z dziwnym koneserskim automatyzmem. „Ruiny Monachium są ohydne. Cocteau pisał, że Paryż byłby piękny jako ruina, ale ruiny nie dają się zaimprowizować. Całe wieki muszą pracować, byśmy mieli taką satysfakcję, jak np. przy oglądaniu willi Hadriana. Miasta zburzone od jednego zamachu są po prostu brzydkie: Hamburg, Brema, Hawr. Kamienie muszą kruszeć pod działaniem czasu, mchy zwolna narastać, słońce winno spatynować to wszystko. Na Maximilianstrasse widzę na gruzach osobliwą wywieszkę: „Ruina do sprzedania" (Ruine zu verkaufen). Ale nie warto: nie ma nic pięknego w tych poczerniałych szczątkach zalegających Europę. Pracują tu dużo, wszędzie słychać łoskot młotów. Musiałem z tego powodu zmienić pokój w hotelu, to było nieznośne".

Szanowni i Drodzy Czytelnicy! Wasz sprawozdawca zapewnia, że pragnął dostarczyć Wam rozrywki. Nie jest jego winą, że przeklęta ideologia wciska się w każdą szczelinę życia i nawet błahe słowo rozmowy kuluarowej naznaczone jest stemplem klasowym. I tak „Dziennik", w którym szukaliśmy anegdot, okazuje się pamiętnikiem egzystencjalisty, melancholijnie błądzącego na linii między metafizyką a biologią, udręczonego przez własny bezużyteczny indywidualizm, obcego wobec ruin i pracy tego wieku.

WŚRÓD SALONOWYCH AFORYZMÓW. Istnieje wszakże jeszcze jeden gatunek „literatury salonowej", który wydaje się najbardziej bezinteresowny: tzw: L e x i q u e s, złożone z poetycznych aforyzmów ułożonych alfabetycznie. Spróbujmy poszukać na tym terenie rozrywki, niezatrutej ubocznią refleksją oceny ideowej. Precyzja francuszczyzny, języka kapitalnych antologii, podręczników i słowników, sprawia, że rodzaj „Lexique" stanowi tu tradycyjną zabawę intelektualną. Mistrzem gatunku jest Cocteau; gdy reporter pytał go, co wyniósłby z domu na wypadek ognia, Cocteau odpowiedział: „Ogień". Jego definicje należą już do dziejów „małej literatury": o Colette, która łączyła śliskie sytuacje łóżkowe z pensjonarską wrażliwością: „Jedyna, która umiała robić tęczowe bańki mydlane z błota". O Giraudoux, znakomitym klasycyzującym styliście, który w swych dramatach unikał deklaracji ideologicznej — pod fotografią wyobrażającą go w kapeluszu: „Giraudoux nie kłania się ani wam, ani żadnej idei, p o n i e w a ż jest świetnie wychowany". W „Nouvelle Revue Française" poeta Jean Grenier ogłasza swój „Słownik". A s p i r y n a: Honorarium kolorowych robotników w Egipcie. W y c h o w a n i e: Dzieci przeważnie są inteligentne, dorośli zaś są głupcami. Jest to rezultat edukacji, która nastąpiła w międzyczasie. Ż y w i o ł y: Braknie ich gdy jesteśmy nimi otoczeni. Powietrza w samolocie, wody na statku, itd. M i ł o ś ć p l a t o n i c z n a: rodzaj miłości małżeńskiej. M i ł o ś ć w ł a s n a: jedyna wierna. D ó ł: napis na górnej części skrzyń leżących na dworcach, opatrzonych też etykietką: Ostrożnie, szkło. Grenier jest kpiarzem, ale są też i lirycy, np. Malcolm de Chazal. B l a s k: najpiękniejszy — łza w oku. Ś m i e c h: łoskot bębnów z pointami piszczałki. K w i a t: naga płeć, lecz oczyszczona z bezwstydu, ponieważ nie stara się ukrywać.

W miesięczniku „Les lettres nouvelles" znajdujemy podobny „Lexique", zatytułowany: „Mały słownik służący jako uzupełnienie historii wojny w Płn. Wietnamie". Autor, André Calvès, pisze na wstępie, że spędził dwa lata w Indochinach jako wojskowy i tam ułożył swój dykcjonarz. B a o D a j. B. cesarz Annamu. Przystosowywał się kolejno do wszystkich reżymów, prócz bezalkoholowego. Jego osobliwość w historii polega na tym, że nieprzyjaciele gardzą nim w równym stopniu co sprzymierzeńcy. Nie można jednak powiedzieć, aby panowanie jego nie zostawiło śladu. Dzięki niemu najwięksi analfabeci w Wietnamie nauczyli się zupełnie poprawnie sylabizować po francusku: „Empereur-de-boîte-de-nuit" (Cesarz-z-nocnych-lokali). B a o d a i s t a. W ciągu 27 miesięcy, autor tych słów z uporem szukał baodaisty. Spotkał Wietnamczyków w administracji francuskiej, mających się lepiej niż inni, posiadających samochód, motocykl, radio itd., i z tej racji gotowych udać się z nami do Kochinchiny i dalej. Znał żołnierzy z armii Bao Daja, zapewniających, że kochają go w postaci jego portretu na banknocie stupiastrowym. Nie może jednak zapewnić, czy baodaista jest postacią rzeczywistą. D u K i c h. Wymawiać: zuki. Partyzant, robotnik lub chłop. Pracuje za dnia, bije się w nocy. Nie nosi munduru, co oburza regularnych wojskowych, prócz legionistów niemieckich, zblazowanych na podobnie nieuczciwe sposoby. H o S z i M i n. Podobnie jak jego przeciwnik Bao Daj, przebywał długo we Francji, ale w całkiem innych miejscach. N a p a l m. Płyn łatwopalny, mieszanina benzyny i palmitatu. Żołnierz wietnamski używa przeciw napalmowi lekkiego nakrycia z bambusu. Ukrywając się w okopie, zrzuca płonące nakrycie, gdy zostało oblane napalmem. Po ataku napalmowym oddział zachowuje pełną zdolność bojową. Napalm jest natomiast skuteczny przeciw kobietom, dzieciom i tym podobnym. W o j n a w I n d o c h i n a c h. Podtrzymywana przez partie wybrane przez Francuzów w wolnym głosowaniu, miała przeciw sobie 9/10 narodu. Trwała wszakże 9 lat. Nikt nie chciał na nią iść i trzeba było ogłosić zaciąg wśród cudzoziemców, z premią 150.000 fr. W ten sposób za „Wieczną Francję" walczył jeden Francuz na czterech Niemców, Senegalczyków i Marokańczyków — ci zresztą szanowali bardziej wroga niż sprzymierzeńców. Zginęły tysiące ludzi, lecz ani jeden winny. Wojna kosztowała masę pieniędzy tych, którzy byli „przeciw" i zbogaciła tych, którzy byli „za". Skończyła się tam, gdzie się zaczęła. Wszystko jest więc w porządku".

Okazuje się więc, że i w salonowym gatunku „Słownika aforyzmów" wyrazić można treści zgoła niespodziewane. Ostatecznie nawet w najlepszym towarzystwie może się zdarzyć ktoś kto psuje zabawę — i Wasz sprawozdawca nie czuje się za to odpowiedzialny.

Zygmunt Kałużyński

CHARLIE

W „Nowej Kulturze" straszy...

...Przymrozek

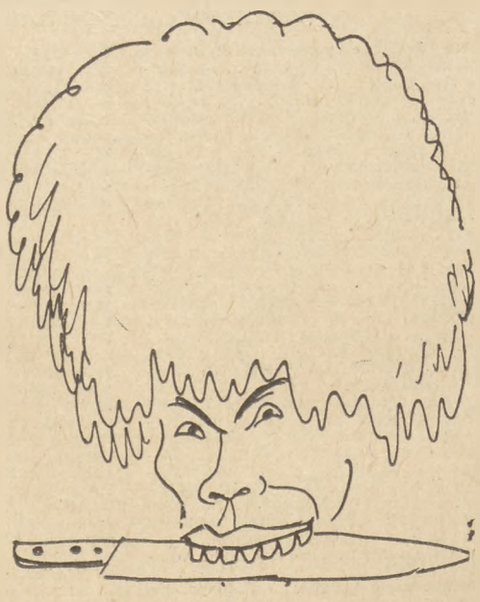

...Dżyngis-Mach

...Swawolny Zyzio-Kałużyński

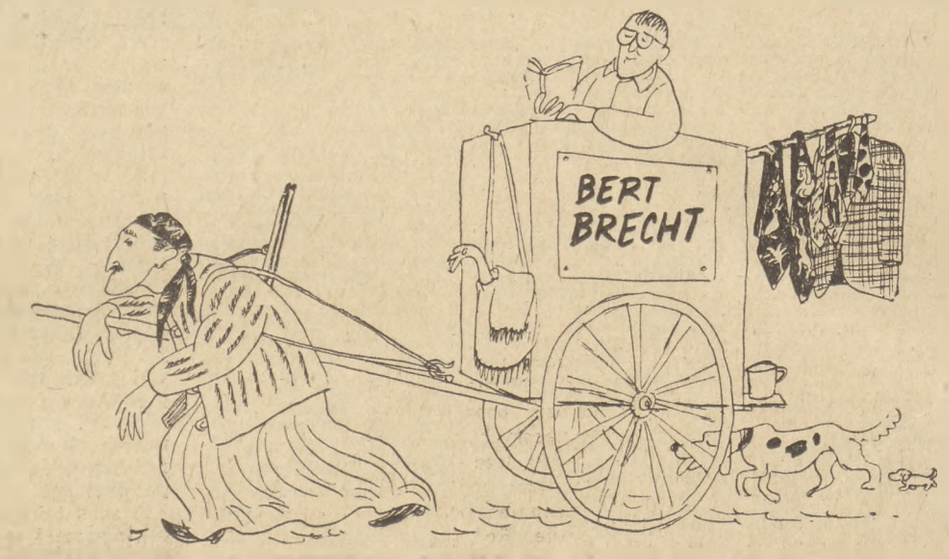

...MUTTER COURAGE (w roli głównej Jerzy Pomianowski)

Pisarze wobec dziesięciolecia

MAGDALENA SAMOZWANIEC:

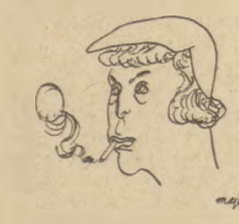

Urodziłam się w roku podówczas jeszcze pańskim w samą noc św. Bartłomieja, co mojej matce było trochę nie na rękę, ponieważ zwykła była nazywać swoje córki imieniem świętej lub świętego, który na ów dzień przypadał. Pamiętam, że noc była wówczas dżdżysta i wiatr hulał za kominem jak sławny świerszcz Dickensa. Byłam jak wszystkie moje sławne siostry: Maja Berezowska, Melcer Rutkowska, Szelburg-Zarembina, Bacewiczówna i tym podobne — tak zwanym „cudownym dzieckiem". Gdy miałam dwa latka, malowałam na dywanie to samo co mój starszy braciszek trochę wyżej na sztalugach — gdy miałam cztery latka malował już konie niezgorzej. A konie mieliśmy już wszyscy we krwi, i to nie byle jakie — same gatunkowe! — Pamiętam, że gdy zaraz po urodzeniu błysnęłam na mojego ojca niebieskimi oczami zawołał: „jeszcze jeden lazur dzisiaj!" i rozpłakał się.

Nasza rodzina nawiasem mówiąc była tak stara, że nie było jej już w herbarzu Niesieckiego, mimo to mama wychowywała nas w duchu demokratycznym, co mi się w mojej późniejszej karierze artystycznej bardzo przydało. — Jeszcze więcej niż malować lubiłam pisać — byle co, byle pisać! do tego stopnia, że kiedyś mama wzięła mnie za rękę i powiedziała surowo:

— Pójdziesz do szkoły!

Tak więc gdy większość moich rówieśniczek oddawała się strojom i zabawie ja chodziłam do szkoły — na szczęście tylko do szkoły malarskiej. — Nie myślcie jednak, że się skarżę; w tej szkole malowało się gołe modele, co musiało bawić dziewczynkę w moim wieku tak nad wiek rozwiniętą. — Tak też poznałam wiele innych cudownych dzieci, z których dużo jest dzisiaj skończonymi artystami, o których już nikt nie pamięta. Gdy ukończyłam dziesięć lat, wystawiłam w Akademii moje pierwsze prace — sukces był szalony! Tatuś wówczas nie był już „cudownym dzieckiem" mimo to umiał doskonale przeczytać listę nagrodzonych prac, wśród których były też i moje „kwitnące kasztany" (para rosłych arabczyków na tle pustyni i głośno zawodzącego muezzina). — Sam mistrz Kaczor-Batowski gratulował mi ze łzami w oczach rzucając pod nogi naręcze przepięknych róż. Pamiętam, że na tę uroczystość miałam świeżo przycięte paznokcie, a tatuś włożył czysty krawat i świeżą koszulę. Potem następowały już jedne sukcesy za drugimi, ale nie myślcie, że się skarżę i że byłam z tego niezadowolona.

Praca bez wytchnienia wynagrodziła mi sowicie te wszystkie powodzenia i oklaski.

W roku okupacji w 44-ym znalazłam się z narażeniem życia w pewnej krakowskiej kawiarni. Różni ludzie tam wówczas przychodzili: wystrojone paniusie z gatunku takich co to od jednego biorą — drugiemu dają i tak oto żyją sobie beztrosko, oraz takie jak ja „cudowne dzieci". Uwagę moją zwrócił pewien młodzieniec, który obrócony do mnie tyłem, oczu ze mnie nie spuszczał, tak mnie to zirytowało, macie pojęcie, że również zaczęłam mu się przyglądać, pokazało się, że był brunetem i tak samo jak ja „cudownym dzieckiem".

Poznaliśmy się i odtąd począł często przychodzić do nas, aby ćwiczyć ze mną na cztery ręce. Pozował mi również do martwych natur, do scen rodzajowych i do wnętrz. — Ale z tatusiem żartów nie było, nieraz wpadał do pokoju, w którym razem siedzieliśmy, groził mi palcem i powtarzał: ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć — co też chętnie czyniliśmy jako, że i błogosławieństwo ojcowskie do tego dochodziło — po roku pracy i intensywnych ćwiczeń przyszła na świat córeczka, którą mój mąż znany na całym świecie korepetytor — pokochał jak własną, życząc jej, aby pracowała dla chwały wolnej i nieprzymuszonej Polski, jak jej matka i wszystkie jej sławne siostry.

Fraszki

STANISŁAW JERZY LEC

O pewnym pisarzu

W całej prasie pełno o nim,
lecz dla Muzy to anonim.

O pewnym publicyście

On zawsze Kato —
gdy mu płacą za to.

O koleżeńskości

Kupiłem dzisiaj tomiczek Woltera.
Zmarłych kolegów chętnie się popiera.

Z miejsc siedzących o filmie Konwickiego

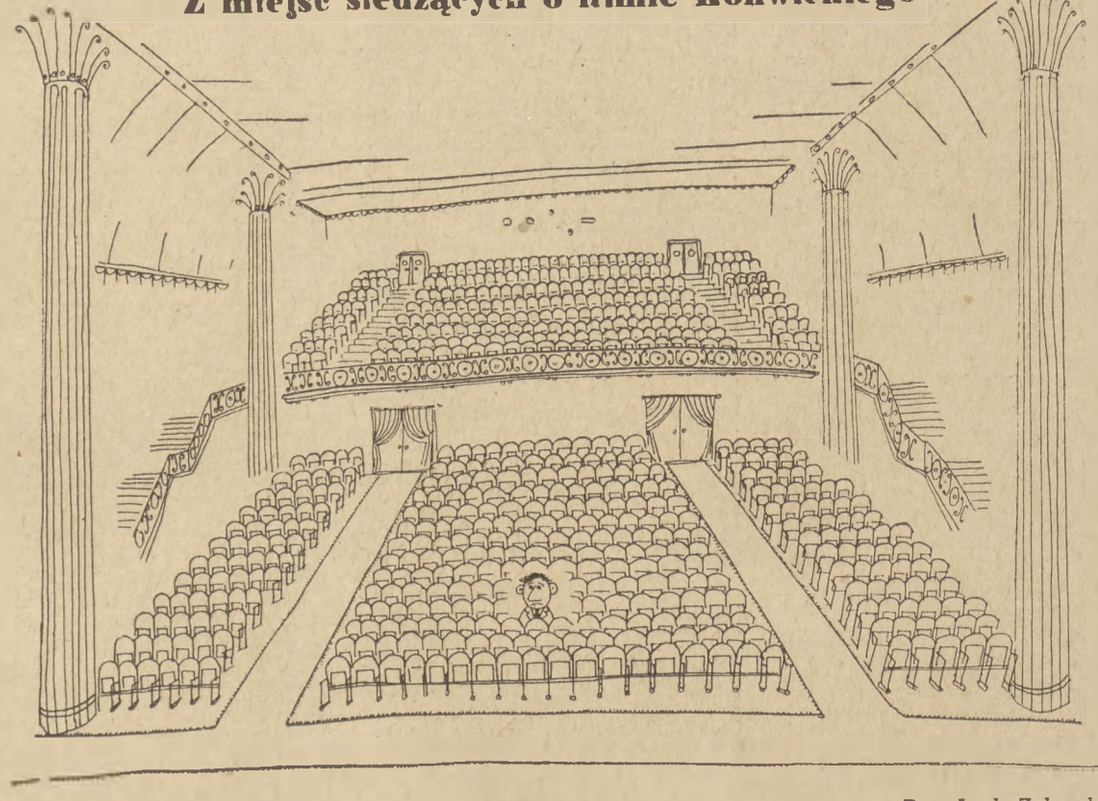

KARIERowicz

Rys. Lech Zahorski

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Sensacyjny czy obyczajowy?

„Kariera" — wyborny tytuł dla wesołków i kalamburzystów! Ileż tu znakomitych możliwości dla docinków, gry półsłówek, zaskakujących pytań w rodzaju „czyja?" lub „czy przypadkiem nie zwichnięta?" Autorzy uszczypliwostek zapewnione mają źródło szampańskiej zabawy na najbliższy sezon, aż do nowej premiery polskiego filmu, a może i jeszcze dłużej. Oczywiście nie największe to nieszczęście, że obrodzą kalambury — tak mało mamy przecież okazji do dowcipkowania.

Teoretycy — z tymi gorzej. Bo z kawału można się pośmiać, teoretycy zaś wymagają od razu żeby im wierzyć. A to i mniej zabawne i bardziej obowiązujące. Dlatego trochę o teoretykach sprawy „Kariery". Nie zapisali jeszcze swoich dywagacji, w chwili gdy piszę ten felieton, w prasie naszej nie ukazały się jeszcze omówienia filmu Koechera wg, scenariusza Konwickiego, ale teorie już krążą za kulisami, a nawet wypowiedziane zostały na tzw. forum publicznym, na konferencji prasowej. Na domiar złego sami autorzy filmu skąpymi wprawdzie deklaracjami dali pole do popisu teoretykom.

A chodzi o rzecz następującą — czy „Kariera" to dwa filmy, czy jeden? Czy jest to jeden film, tzn. czy koncepcja scenariusza, „widzenie" scenarzysty zostało podchwycone przez realizatora i przeprowadzone w toku nakręcania filmu, czy też przeciwnie, scenarzysta napisał co innego, o innym filmie myślał, reżyser zaś myślał o innym i co innego nakręcił? Spór zaiste potężnie scholastyczny, skoro jest faktem niezbitym, że widzowie zobaczą na pewno jeden film w kinie, ale trudno — skoro już się zaczął — idźmy tropem tego sporu.

A więc, wg sugestii scenariusza, „Kariera" miała być rzekomo filmem obyczajowym. Miała namalować szeroki, panoramiczny obraz życia naszego kraju, nagromadzić ludzkie sprawy, ludzkie postawy, szereg życiowych powikłań codziennych i powszednich, a połączyć to wszystko przy pomocy postaci szpiega, agenta wywiadu, który snując się między naszymi ludźmi siebie i widza miał zapoznawać z ich codziennymi sprawami. Tak ponoć miało być w scenariuszu i — nie ma co — wcale to ładny pomysł.

Później, w stadium realizacji przyszła ta druga koncepcja — sensacyjna. Nie tło obyczajowe jest najważniejsze, ale akcja sensacyjna, akcja szpiegowska. Szpieg o ponurym wyrazie twarzy wyrósł na pierwszoplanowego bohatera. Jego manipulacje miały przykuwać uwagę widza.

Takie dwie koncepcje złożyły się na „Karierę". I tu się podniosły głosy, że się wcale nie złożyły, czy też nie „nałożyły na siebie" tylko po prostu się „rozminęły". Wyszło ni to ni owo, a stało się tak dlatego, że trzeba było wybierać — albo jedna albo druga koncepcja. Tak mówią teoretycy.

Mówią i nie mają racji. To znaczy mają rację we wnioskach, że coś się tam w tej „Karierze" istotnie „rozminęło", ale mylą się chyba w diagnozie, że trzeba było albo, albo.

Na pewno trzeba było zrobić jedno — popróbować nakręcić film szpiegowski mający coś wspólnego z codzienną rzeczywistością. Bez tajemniczych aut długich jak wieczność, w których panowie o nosowym akcencie spiskują przeciw naszej ojczyźnie. Bez zapytań w rodzaju „gdzie leży ta wasza, jak jej tam, stolica, Warszawa?", bez nadmiernych ułatwień. Trzeba było zerwać z dotychczasową tradycją naszego filmu szpiegowskiego nie dlatego, aby było nieprawdą, że właśnie panowie żujący gumę są istotnymi inspiratorami sabotażu i dywersji lub aby było nieprawdą, że wśród tych panów zdarzają się zapewne i zadufane bęcwały. Uwolnienia się od tej tradycji wymagała bojowa operatywność filmu — nie każdemu zdarza się otrzymywać instrukcje w dyplomatycznym samochodzie, natomiast znacznie prawdopodobniejszą jest możliwość spotkania dywersanta w sublokatorskim pokoju, jak to ma miejsce w „Karierze".

I jest chyba jasne, że jeśli film szpiegowski w naszych warunkach ma spełniać rolę czynnika mobilizującego czujność szerokich rzesz, jeśli zdobyć się ma na zajmującą i odkrywczą intrygę i pokazać nowe oblicze naszego społeczeństwa, to musi on operować realiami, leżącymi w zakresie dostępnego każdemu z nas doświadczenia. Musi być filmem — obyczajowym. A więc koncepcja nr 1?

Nic podobnego. Ani nr 1 ani nr 2, bo tutaj, jak mi się wydaje, nie ma żadnej antynomii. Obie te koncepcje wcale się nie wykluczają, przeciwnie, jedna z drugą się łączą.

Przypomnijmy literacką i filmową tradycję gatunku sensacyjno-detektywistycznego. Przypomnijmy wznowionego przez „Iskry" ku uciesze czytelników Conan Doyle'a, klasyka tego gatunku. Przypomnijmy — niestety skąpo po polsku udostępnioną znakomitą autorkę powieści detektywistycznych — Agatę Christie. Czy są to pisarze sensacyjni czy obyczajawi? Czy Sherlock Holmes mógłby wykrywać zbrodnie, gdyby nie był badaczem obyczajów i gdyby Conan Doyle nie nasycał swoich książek przede wszystkim obyczajową obserwacją? A bohater Christie — pan Poirot — gentleman nigdy nie używający pistoletu i pięści, czy nie jest przede wszystkim znawcą obyczajów? Film szpiegowski i literatura szpiegowsko - detektywistyczna były i są do dziś dnia gatunkami, które w największej chyba mierze przyczyniają się do rozwoju powieści obyczajowej. Wynika to z ich istoty, z ich zasad konstrukcyjnych. Dla powieści detektywistycznej wszystko jest ważne, wszystko jest znaczące i wszystko musi się w konstrukcji uzasadniać, żeby w ogóle można było przeprowadzić intrygę. W innych gatunkach pisarskich ta ważna cecha niezachwianej logicznej konstrukcji opartej na bogatych obserwacjach obyczajowych, choć istotna, nie jest tak niezbędna jak w powieści detektywistycznej.

Czytałem np. niedawno książkę jednego z naszych pisarzy współczesnych, piszącego rzeczy żywe, oparte nie tyle na subtelnej introspekcji, ile na „dzianiu się", wigorze, z jakim prowadzona jest akcja; w toku lektury ze zdumieniem zauważyłem, że autor powieści najwyraźniej wierzy w rozdwojenie jaźni posunięte aż tak daleko, że jedna z postaci książki występuje w tym samym czasie w dwu różnych miejscach. Zgniewało mnie to i zraziło do powieści. Później ktoś zwrócił mi uwagę, że podobne historie zdarzają się przecież i w „Nocach i dniach" Dąbrowskiej. Przyznaję — nie zauważyłem tego czytając Dąbrowską, lecz nie zamierzam ponownie tej rzeczy sprawdzać. Od Dąbrowskiej bowiem oczekuję zupełnie czego innego niż potoczyście zbudowanej akcji i nie obraziłbym się, gdyby jej postacie występowały nawet w pięciu miejscach naraz, jeśli tylko wzmocniłoby to rozległe epickie spojrzenie „Nocy i dni".

„Kariera" przez to właśnie zachwiała się i „rozminęła", że zastanawiano się, czy rozwiązać ją sensacyjnie czy obyczajowo, nie rozumiejąc, że właśnie po to, aby ją rozwiązać sensacyjnie trzeba szczególnie pieczołowicie, do najdrobniejszych szczegółów opracować jej stronę obyczajową i opartą o tę warstwę intrygę filmu. A tak się przecież nie stało.

Krzysztof T. Toeplitz

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa". Kolportaż PPK „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują: wszystkie kioski PPK „Ruch" z wyjątkiem kiosków dworcowych — w terminie od 1 do 25 każdego miesiąca, cena prenumeraty wynosi w styczniu 6 zł, lutym 4.60 zł, marcu 4.80 zł, kwietniu 4.80 zł, maju 6 zł, czerwcu 4.80 zł — oraz wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4.60 zł, kwart. 13.80 zł, półrocz. 27.60 zł, rocznie 55.20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO I-111 5689, tel. 23-09. Rękop. niezamów. redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 8/8.

Zam. 673. B-6-5003